

1. Imię i nazwisko - Wanda Kiatka z d. Cejko
2. Imiona rodziców - Sylwester, Weronika
3. Data i miejsce urodzenia - Wilno, 15.XII.1922 r.
4. Pseudonim - "Erka", "Wilia", "Marika"
5. Wykształcenie - niepełne średnie (szkoła zawodowa)
6. Data wstąpienia do konspiracji - lipiec 1941 r.
7. Działalność w organizacji i pełnione funkcje - Wilno - grupa Środowisko w szpitaliku polowym na ul. Krakowskiej, w czasie akcji "Burza", "Ostra Brama", sanitariuszka w oddziale Fakira
8. Posiadane odznaczenia AK - Krzyż Walecznych, Krzyż Partyzancki, Medal Wojska
9. Data aresztowania - 23.II.1945 r. wieś Łukiszany
10. Pobyt w więzieniach, przebieg śledztwa, warunki w więzieniu wyrok - Dąbrowa, Wilno - Łukiszki, ul. św. Małdaleny (zaplecze Pałacu Biskupiego). Osadzona na 20 lat katorgi z pozbawieniem praw na zawsze i zesłanie do obozów o szczególnie ostrym reżymie. Moskwa - Lubianka i Butyrki w czasie procesu gen. Ukulickiego.
11. Obozy - Morkula od pierwszych dni grudnia 1945 r.
12. Praca w obozach - w kopalni
13. Zesłanie -
14. Powrót do Polski, repatriacja - koniec listopada 1956 r.
15. Po powrocie do Polski (praca zawodowa, nauka, dom itp.) - dom, krajowa

Opowiadanie Wandy K.

Zaczynam z gory, że całe życie mam wyrzuty sumienia, że mało zrobiłam, że mało mogłam. Nie spotykam na swojej drodze ludzi, którym byżebym potrzebna. To, co Stach powiedział: "Boże! a nam tak żyć, potrzebne ręce do pracy i nogi". Ja nawet szukam, ale ludzie się nie chcą ludzi bali.

W czasie okupacji niemieckiej było tak niespokojnie. Ciągłe tapano wrozdziej. I ja ciągle tak, podczas tapanek, szuch na wieg, gdzie miałam krewnych. Gdy się uspokajało, wracałam. I potraciło się kontakty z bliskimi. Tak samo koleżanki i koleżdy porozlatywali się po całej Wilnieszczyźnie.

W szkole należałam do PWK. Gdy zaczęła się okupacja i bombardowanie, nas momentalnie zmobilizowano. Pracowaliśmy w różnych miejscach. Ja miałam dyżury w magistracie; byłam goncem. Siedzieliśmy i opowiadaliśmy sobie kawery. Gdy trzeba było, gdzieś iochiam, coś zajątwiam. Potem, z warszawskiego, z centralnej Polski, zaczęli napływać ludzie uciekający przed Niemcami, trzeba więc było zapewnić im lokale. Każdej z nas przydzielono dzielnicę. Ja z koleżanką dostaram Kalwaryjską. Nie było domu, w którym by powiedziano "nie". To było wrzuszające. Staruska, bardzo uboga, ma jeden pokój, ale mówi: "Proszę Pani, ile się da. Położymy się na podłodze". I pamiętam, jakis yzd. przemysłowiec: "Ależ naturalnie, proszę bardzo". Wrzuszająca była chęć ludzi do niesienia pomocy, do dzielenia się ostatnim kawałkiem chleba. Byłam tym bardzo podbudowana.

Ten okres skończył się wkrocze i zaczęła się polworna okupacja sowiecka. Ja, mając skończoną zawodowkę, poszłam do wieczorowego gimnazjum, żeby zrobić maturę. Ale gdy przyszli Niemcy, diabli udzieli wszystkie nauki. Nie pamiętam, który to był rok, chyba 41, kiedy spotykam kolegę: "Wandziu, chcesz?" - ja mówię: "naturalnie", bo wiadomo było o co chodzi. Poszliśmy. Zaprowadził mnie na ulicę Portową. Tam była młoda panienska i bardzo siwa, starsza pani,

legionistka, która od nas, ode mnie i od koleżanki, przyjęła przewidywanie. Miałam dziewiętnaście czy osiemnaście lat i byłam szalenie wzruszona. Pani powiedziała: "Pamiętajcie dziewczynki, że to nie jest tylko praca i przygoda, to jest również nadstawianie swojej głowy i całej rodziny. Czy jesteście gotowe?" - "Jesteśmy". Ja gotować była większa niż jakikolwiek lęk.

Jeden, drugi kontakt, jakiś gryps przeniesiony tu czy tam. Bioganie z planem po Wilnie, oznaczenie wszelkich obiektów wojskowych niemieckich. No, i to wszystko. Powiedziano jeszcze, że jeśli będzie powstanie w Wilnie, czy jakaś akcja, to zapali się szope stojącą na Kalwaryjskim Rynku. No i - "Proszę się z nami nie kontaktować!". Gdy będę potrzebna, to oni mnie powiadomią. Mija tydzień, mijają dwa, mija miesiąc. "Proszę się na ulicy nie kłaniać, nie chmy się na ulicy ani w kościele". No co? Spolykam tę panią. Nikt nic do mnie. Denerwuję się, czekam, nie epię czasem, bo myślę, że przecież nic nie robię. I tak mijają dni. Zaczęły się zapiski i wywóz do Niemiec. Gdy była japonka, uciekałam na wieś. A na wsi zaczęły się już pojawiać partyzantki. Miałam krewnych pod Kiemieliszkami. Tam urzędował popaszko, Ronin, Konar itd. Przychodzili chłopcy. Więc co mogłam robić? Gdy szłam do Wilna, zajątkowałam coś w aptece, to tu, to tam. Iaki nie pisany japonik. Czuję się zaprzysiężona i związana z nimi. Chłopcy mieli do mnie zaufanie. Czasem zajątkowałam sprawy osobiste. Raz miałam okropnie przykre przeżycie. Chyba u Ronina była Myszka, blondyneczka, łączniczka nie łączniczka, siostra w oddziale. I ona mówi: "Władziu, moja matka mieszka blisko Ciebie, na Kalwaryjskiej. Idź, powiedz, że jestem żywa, zdrowa, żeby się nie martwiła.". Poszłam do Wilna. Przychodzę raz - nie ma nikogo, zamknięte drzwi. Przychodzę drugi raz. To niedaleko cerkiewki, po drugiej stronie. Sąsiadki zauważyły, że przychodzę i kłopot z nich, mówi: "Niech Pani tu nie chodzi." "Dlaczego?" "Do tej pania Niemcy biją. O, właśnie idzie." Dopadam ją i mówię: "Jestem koleżanką córki, córka przeżyła. Pani pozdrowienia." A ona płacze. Podniosła spódnicę, pokazała nogi jako żyto granatowe, i mówi: "Niech Pani jej powie, jaka ja jestem przez nią. Oni ciągle pytają, gdzie córka?" Ktoś donosi Niemcom, że Myszka jest w partyzantce. Matkę strasznie bito i maltretowano. Wiadomo, że córki nie żyła. Czuję się naprawdę potwornie. Przychodzę, żeby przynieść jej tę radość, że Myszka żywa i zdrowa. I teraz nie wiedziałam, co mam tej biednej kobiecie powiedzieć. Czuję się sama jak zły pies. Przecież jednocześnie wiedziałam, z jakim entuzjazmem sama witam tych chłopców, te dziewczyny. Przecież to był kult tego, czego u nas nie ma, a co było w konspiracji. No i wieciej tej Myszkę nie zobaczyłam, ale to było potworne przeżycie.

Poza tym, co mogłam na wsi robić? Jak już było zimno, organizowałam dziewczyny i mówię: "Słuchajcie! niech każda da swój wkład dla tych chłopców, jakieś skarpetki, jakiś szalik." i w ten sposób, co mogłam, to robiłam.

Niedługo przed akcją na Wilno, znowu spotkałam w Wilnie kolegę mojej koleżanki z wieczorowego gimnazjum z czasów sowieckich. Pyta: "Czy Pani coś robi?" - ja mówię: "Właśnie, jestem zaprzysiężona, ale nic nie robię i wstydzę się tego." On na to: "Kochana, idziemy razem." - "Idziemy." Poszliśmy na ulicę Połomską, koło Krzywego Koła, jak się idzie na Belmont. Chyba na końcu Połomskiej był biały domek, piaski jak pudereczko. Okna zasłonięte. Jakiś pan, w okularach, brodaty, przyjmował przysięgę. Drugi raz. Myślę sobie, jeżeli tyle czasu minęło, to może rzeczywiście powinnam jeszcze raz zrobić. Nawet nie powiedziałam, że już raz przysięgałam, bo to było dla mnie niepoważne. Gospodyni domu, młoda, miała pseudonim "Beatrice", jej mąż, również młody i szczupłutki jak ona; pseudonimu nie pamiętałam. Nie pamiętałam też kim był brodac, który przysięgę przyjmował. I znowu: "Proszę się z nami nie kontaktować. My

wiemy, gdzie Pani mieszka, damy znać, jeżeli będzie trzeba." I koniec, i nic. I nagle - bomby lecą na Wilno i słyszę od wschodu armatnie wystrzały. To było chyba 7 lipca 1944 roku. Z jednej strony przyleciała kula, przebijając raweczkę i nasze drzwi a z drugiej strony przyleciała kula sowiecka, przebijając sąsiedni dom na wylot. I zaczęło się.

Pomyślałam, że najwyższy czas gdzieś ruszyć. Mieszkałam na Chełmskiej, tuż przy Obozowej. Mosty strategiczne były zbombardowane. Było ciepło, piyłam dobrze, jedną ręką przepływałam Wilię, więc ubranie na głowę i piynę. Gdy byłam na środku rzeki, ostrzelał mnie samolot niemiecki. Obleciał dwa razy dookoła i dwa razy mnie ostrzelał. Ze strachu poszłam pod wodę z ubraniami. Na szczęście mnie nie trafił. Tylko fontanny wody od kul były dookoła. Wyszłam na drugą stronę cary, żywa i zdrowa, wykręciłam ubranie. Nikogo nie było. Przeszłam przez cary Antokolską, przez Holendernię, na tę Połomską - nikogo nie spotkałam. Dom zamknięty na cztery spusty, okiennice nawet zamknięte. Dopiero po wojnie dowiedziałam się, że Niemcy ewakuowali całą dzielnicę. Samotna przeszłam na dół przez Zarzecze. Nie pamiętam teraz, jak znalazłam się znowu na Kalwaryjskiej, w swojej dzielnicy. A na Kalwaryjskiej od mostu ruch. Stolica partyzantów.

I myślę sobie: do kogo mam się udać? Widzę, z poczty wychodzą. Więc tu jest punkt. Poszłam tam i mówię: "Z komendantem chcę." - Zajęty. Zaraz." Na jednym peño pasków, no, to komendant. Ja mówię: "Proszę Pana, straciłam kontakt ze swoją komórką. Proszę mnie gdzieś skierować." - "Chwileczkę." - pomyślał, pomyślał: "O tu na Krakowskiej, w szkole, jest szpitalik polowy. Każde ręce się przydadzą." Poszłam tam. Naturalnie przydały się pierwsze-lepsze ręce. I tam do końca akcji na Wilno pracowałam.

Kalwaryjska to była jedyna polska część miasta. Odtworzono od razu polską administrację. Tam rzeczywiście była republika partyzancka. I ja tam byłam cały czas. Bywało, że trzy noce i trzy dni z rzędu dyżuruowałam, bo nie było komu. Niewiele nas było. Jakąs siostra zakonna, niejaki pan Franio, sanitariusz, który tak jak ja, przypadkowo przyszedł pomóc, lekarz, który czasem był, czasem go nie było, jakąs siostra pomagająca lekarzowi. Nawet nie interesowało mnie, kim byli.

Szpitalik był nięduży. Pamiętam, główna sala i osiem łózek. Poza tym na gorze leżało siedmiu Niemców. Na dole wśród naszych chłopców było dwóch jakichś Sowietów-Kajmyków. Jeden z nich wiecznie śpiewał o swoich baranach. Pytałam o czym śpiewa - "O domu, o baranach."

Był bardzo tragiczny moment, kiedy ze Zwierzynca przedarli się Niemcy. Wtedy zginął "Juras", natykając się na nich. Nikt nie wiedział co się dzieje i dokąd Niemcy pojdą. Przez Krakowską od Zwierzynca biegli ludzie z walizeczkami, z tobojkami, a kule za nimi. I kule biły o szkołę. Chorzy zdenerwowani, ranni zdenerwowani. Niektórzy się zrywają żeby uciekać. Ja sama, przyznam się, byłam w potwornym strachu. Poczuję się jeszcze gorzej, gdy zobaczyłam, że lekarz ze swoją walizeczką i siostrą wyszli, nic nam nie mówiąc. A my co? Ja byłam tylko sanitariuszką. I ten pan Franek także. Na szczęście on był ze mną. I zostaliśmy tylko my oboje. Uspokajaliśmy chorych jak mogliśmy, usmiechając się. Potem przyznaliśmy się sobie, że on bał się, zebym ja nie odeszła, a ja myślałam: "Jezus, Maria! żeby chociaż Franek nie odszedł." No i zostaliśmy na noc. Ucichło. Oni po prostu przeszli, kule przestają latać. Czy ludzie wracali? Ja już nie pamiętam. Następną noc, ranni uspokoili się, posnęli. Wyszliśmy na ulicę Krakowską, tak patrzę: łuna, coś się pali. A noc cicha, spokojna, piękna. I mówię: "Boże moi! miasto się pali, co to się pali?" A to chyba paliła się poczta. Nad miastem była łuna.

Następnego ranka barabani woz po kocich łbach. Wybiegam, bo widzę, że wiozą kogoś rannego. Patrzę i poznaję. Cary w bandażach, nieprzytomny, z zamkniętymi oczami, leży "zbik" od Ronina.

Spotkałam go pod Kiemieliszkami. Bardzo wesoły i dowcipny chłopak. Przywiózł go partyzant, który niedawno temu był u męża i opowiadał o tym. Mąż mówi: "To moja żona go przyjmowała". Pamiętała, że rzeczywiście była to jakaś młoda panienska. No więc, "zbił" leżał nieprzytomny. Znalazła się przy nas, niewiadomo skąd, jakaś staruszczyca z koszyczkiem truskawek. Bierze jedną truskawkę i wodzi nią chłopcu pod nosem. Nagle on zaczyna mrugać, więc wkłada mu tę truskawkę do buzi. Chwycił zachłannie, ale nastąpił straszny skurcz bólu, bo to był przestrzał odłamekami przez zęby, jamę ustną, ucho; cała głowa i kark. Wszystko to było poszarpane. Ale gdy już połknął truskawkę, otworzył oczy i wzrok jego padł na mnie. "A, panna Wandzia! Ja do Pani z litrem w swaty się wybieram, a te cholery tak mnie urządziły!" I stracił przytomność. Tak mi się serce scisnęło, rzy w oczach. Co my z nim zrobimy? Lekarza jeszcze nie ma. Musimy go przeprowadzić przez Wilię. Most Zielony był już zbombardowany, więc łądką. Powieźliśmy. Nawet go nie zdejmowaliśmy z wozu. Po rzece kursowała jedna łądka. Chcę ułożyć rannego, a ludzie się pchają. Mówię: "No, przecież na Boga, ludzie, pozwólcie przewieźć rannego." No, jakos przewieźliśmy go na drugą stronę. Tam, w głębi małej uliczki, od Zygmuntońskiej, był biały szpitalik, ginekologiczny. Odwieźliśmy go do tego szpitalika. Spotkałam tam partyzantów; napchali mi pełne chlebaczki cukierków: "Do kieszeni, Siostrzyczko na drogę."

Wróciłam do szpitalika. Wrócił lekarz, wróciła siostra. Po kilku dniach chłopcy mówią: "Pojdziemy na Warszawę. Siostra idzie z nami?". Trochę się wahałam. Mama jedna w domu. Tatus zmarł w 1941 roku. Starszy o dwa lata brat - w partyzantce. Najstarszy ożenił się. Ale myślę sobie: Władek niedaleko mamy. Chciałam się zrehabilitować za to, że przez całą okupację prawie nic nie robiłam. Pojdem.

Wyszliśmy z Wilna chyba 15 lipca 1944 roku. Zbiórka była pod cerkwią na Kalwaryjskiej. Dołączono mnie do Samodzielnej Brygady jakiejś takiej, utworzonej w ostatniej chwili. Już nawet nie pamiętam, kto był dowódcą. Poszliśmy. Jak wiadomo, w pewnym momencie: "Zdawaj oruzje!" - i posadzili nas do Miednik a potem wywieźli do Kaługi. W Miednikach pierwszy raz spotkałam "Hajduczka". Była to dziewczyna, która się nosiła jak chłopak. Miała lśniące, kruczo-czarne włosy, czarne oczy...

Kiedy nas sortowano przed wysłaniem do Kaługi, wystawiono stolik na zewnątrz, przed obozem; każda musiała podejść i podać swoje personalia, wytłumaczyć się, co robiła itd. Ja powiedziałam, że trafiłam tutaj przypadkowo. Pomyślałam sobie: jestem czysta. Prawie wszystkie dziewczęta poszły do Kaługi, a tylko kilka wysłano na Łukiszki.

Po trzech miesiącach pobytu w Kałudze włączono nas do sowieckiej armii i ubrano w sowieckie mundury. Po kilku miesiącach ćwiczeń zdecydowano, że zadni z nas żołnierze i wysłano do "podsobnego choziajstwa": kapusta, kartofle, buraki... Była to już późna jesień, szron na trawie rano i nocą, a my mieszkaliśmy w namiotach. Było bardzo zimno, głodno i chłodno, ale dziewczyny były wesołe i robiły im wszystko na złość. Po kilku miesiącach, jak nam powiedziano - na mocy umowy Polskiego Rządu Lubelskiego i Moskiewskiego, zwolniono nieletnich i kobiety. Ubrano nas w starą "aktirowkę", jak to się mówiło. Ja dostałam pokrwawiony, bez jednej pary sznel, podobne buty itp.

Historia zaczyna się od nowa. Wróciliśmy do Wilna późną jesienią, pod koniec października, czy w listopadzie. Stopniowo zaczęli wyrępywać do więzienia. Słyszę: jeden siedzi, druga siedzi, trzecia siedzi. Były masowe aresztowania, wypuszczano, potem stopniowo zabierano znowu. Łapani przecież byli, całymi ulicami były łapani. I znowu straszny niepokój.

Mieszkałam na Chermskiej, gdzie były takie małe, jedno-dwu

rodzinne domki. W sąsiednim domku mieszkała "wesola panienska". Do niej najpierw przychodzili Niemcy, a teraz bolszewicy, NKWD-ziści. Któregoś dnia ona mówi mamie na ucho: "Niech Pani córka wyjdzie z domu, ale to natychmiast." Widocznie, któryś z sowietów pochwalił się jej, że przyjdą po mnie w nocy. I rzeczywiście przyszli, ale mnie już nie było. Brat, czy ktoś inny zaprowadził mnie gdzieś na wies, do chatki na odludziu, do pana Lisowskiego. Pewnej nocy przyszedł tam oddział "Fakira". Trzeba było coś im ugotować. Dużo ich było, bo rozlokowali się w kilku domach. Spotkałam ich tam raz, drugi. "Fakir" to był Kosciarkowski, ten, który zarządził Wyleżyńską.

Którejś nocy nad ranem: puk-puk: "Panno Wandziu, jeśli Pani chce Stasia, swojego brata zobaczyc, to my stoimy w Rauliszkach, trzy kilometry stąd." No naturalnie, że chcę zobaczyć. Coż, dziś żyjemy, jutro możemy nie żyć. To był już 4 luty. Poszłam tam, zaprowadziła mnie córka gospodyni, 8-letnia Haneczka. Gospodarz dał nam jakieś czyste koszule, kawałek słoniny - "chłopcom się przyda". On miał dwóch synów, którzy tak jeszcze byli i nie byli w domu. Po przyjeździe na miejsce, radujemy się z Haneczką od razu na podwórko; znam prawie wszystkich chłopców. Wartownik mnie przepuszcza. Na ganek wyszedł "Fakir", zbesztając wartownika i jak huknie na mnie: "A Pani co tu robi?. No jak to? Na m.p. wchodzę bez żadnego zameldowania? bez niczego?" Wartownik myślał, że skoro mnie zna, to może wpuścić. Ja myślałam, że jeśli wartownik puszcza, to mam prawo wejść. Przeprosiłam i spytałam czy mogę odwiedzić stojącego tu z oddziałem brata. "Naturalnie. Tylko na drugi raz proszę pamiętać, że na m.p. bez meldunku się nie wchodzi." Taki srogi był.

To były trzy domy w rzędzie, zabudowania jakies, małe gospodarstwa. Za tymi domami stała duża stodoła i jakos tak, pamiętam, szła droga. Moja Stasia była w ostatnim domu. No i naturalnie: fortepian w pokoju, dziewczyna gra, chłopcy śpiewają, ktoś bije wszy, ktoś czyści karabin, ktoś się myje, a ktoś tam robi jeszcze coś innego. Jak to na m.p. I nagle - strzał. Okazuje się, że drogą na Podbrodzie jechali bolszewicy. W pierwszym domku stał "Fakir". Na ganeczku prawdopodobnie stał chłopak, być może tyłem do drogi, być może trzymał karabin. Dostał strzał i upadł. Bolszewicy momentalnie, zanim nasi chłopcy się pozbierali, zajęli pozycje za tą stodołą, która zimą na białym śniegu miała dobry obstrzał na wszystkie trzy domy.

Chłopcy runęli do pierwszego domu, gdzie był komendant. Ale jeden chwycił karabin czy automat a zostawił chlebak z amunicją. Inny wybiegł w koszuli; została kurtka czy kozuch. Więc my z Haneczką chyba z pięć razy biegaliśmy pod kulami tam i z powrotem. Hanka trzymała się mojej spodnicy, nie chciała odejść ani na krok, nie chciała też zostać w jamie kartoflanej, do której ją wpychałam. Niosąc ostatni chlebak i kozuch usłyszałam: "Siostró, komendant świsnął, ale na szczęście ani mnie, ani jej żadna nie trafiła. Potem już zobaczyłam, że miałam poprzerzelaną całą spodnicę. Pobiegliśmy do komendanta, którego podtrzymywali chłopcy. On, wychodząc z sieni, dostał przez okno rykoszetem. Trzy kule przebiły mu piers. Był wlot, ponieważ rykoszet, nie było wylotu. Była zima, był ubrany, pełno pasów, mówię więc chłopcom: "Porozpinajcie to wszystko jak najprędzej. W najciemniejszy kąt go zaciągnijcie." A do gospodyni: "Co Pani ma?" Dali mi apteczkę. Tycią, a w niej bandażyk i pastylka riwanolu. Proszę gospodynię o prześcieradło, koszulę, coś czystego. Pomogła mi to rwac. Chłopcy porozpinali komendanta. Krew się sączy, jest wlot, a on jest nieprzytomny. Boże, co ja mogę zrobić. Tylko zabandażować. Tu słyszę znowu: "Siostró, gospodarz ranny." A oni strzelali, dranie, najczęściej rozrywnymi kulami. Gospodarz ma wszystko wyrwane. Niosą chłopaka. Wyrwany kawałek piersi i rozerwana ręka. "Dan", taki młody chłopak, był ranny w

brzuch i tu miały jeszcze wyrwane; nie czuły tego wcale, tylko boląy go nogi.

Nie wiem za kogo najpierw się brać i czym? Gdy mi podawano apteczkę, poszła seria i apteczka "k' czortu" poleciała gdzieś na sufit. Opatrzyliśmy z gospodynią tych rannych. A tamci strzelają już czerwonymi, alarmującymi rakietami. W każdej chwili mogą nas najechać wojskiem. Niektórzy chłopcy szli do stodoły przez to białe pole, żeby ich wziąć! Kto szedł, ten padł. Pamiętam, jednego nie zdążyliśmy zabrać, ale on już nie żył. "Jur", starszy pan. Jeszcze żartował, jeszcze dał mi list do żony, do domu.

Załadowaliśmy wszystkich rannych na wozy. Zabitych zostawiliśmy, mieliśmy mało wozów, zresztą dokąd ich wieźć, sami uciekamy. Prosililiśmy gospodarzy, żeby ich pochowali. I kiedy już ranni byli ulokowani, wszyscy chłopcy jak jeden mąż stanęli i patrzą na mnie, bo przecież ja przyszedłam tylko odwiedzić Stasia. Powiedziałam tylko: "No, to prędko siadajmy i jedźmy!" Odetchnęli z ulgą. Bali się, że zostaną. Tak, jak ja bym była w tej chwili wyrocznią.

Odjechaliśmy. W drodze "Fakir" majaczył. Raz jakby odzyskał świadomość. Pytam: "Jak Pan się czuje?". A on mówi: "Do Kiemieliszek, prędkiej do Kiemieliszek!" Znam Kiemieliszki, a chłopcy mi powiedzieli, że tam był konspiracyjny lekarz. Prawdopodobnie komendant chciał do niego. Jako pikietę jechał "Lisek", młody chłopak. Podjeżdżał wciąż do mnie i pytał: "Komendant?". Odpowiadałam: "żyje, jeszcze żyje, uspokój chłopców." No i znow "Lisek" podbiega, a komendant już nie żyje. Ranny w brzuch "Dan" bardzo cierpi. "Fakirovi" już nic nie można pomóc, więc poszłam do drugich san. "Dan" prosił, żeby mu rozetrzeć zmarznięte, prawdopodobnie od upływu krwi, nogi. Rozcierałam mu je pod kozuchem. Zrobiliśmy postój i wtedy powiedziałam chłopakom o śmierci "Fakira". Nastroj taki, że trudno sobie wyobrazić. Poprosiłam gospodarza o spirytus i rozcieraliśmy "Danowi" nogi. Tymczasem musiałam opatrywać innych. Niektórym rany zatkały się kawałkami ubrania. Palcami umyтыми w spirytusie wyjmowałam te swetry i kozuchy z ran, oczyszczałam je w miarę możliwości, robiłam co mogłam. A biedny "Dan"! To był bardzo młody chłopak, miał może siedemnaście, może szesnaście lat, blondyn, kędzierzawy. W oddziale miał bliźszego przyjaciela o pseudonimie "Chętny". Dwa kontrasty. "Dan" - szczupłutki, blondynek, a ten - taka pyza czerwona, śliczna. I "Chętny" nad nim się nachyla, a rzy mu kapią, prosto na "Dana". A ten mówi: "Chętny", jeśli mnie kochasz, dobij mnie, albo daj mi Visa." To było straszne. Bardzo.

Długo nie staliśmy. Nakarmiliśmy rannych i opatryłam ich. Chłopcy zdecydowali, że pojedziemy pod Siuzany, że w Siuzanach jest nasz lekarz. Dojechaliśmy. Koło jeziora, Dębskiego chyba, na wzgórzu był dom. Tam stanęliśmy i zdecydowaliśmy, że będzie najbezpieczniej jeżeli ja, ot, jako wieśniaczka, z "Liskiem", pojedę na saniach przez to jezioro po lekarza. "Dana" zostawiłam u takiej młodej gospodyni i powiedziałam: "On strasznie chce pić, ale nie wolno mu dawać, można tylko zmoczyć usta". Poza tym posadziłam przy nim chłopca, żeby zmieniał mu termofor w nogach. Ten termofor dała nam gospodyni. "I pilnuj go". Pojechaliśmy przez jezioro. Była to ogromna przestrzeń w stronę Siuzan, góra, na horyzoncie lasek, a z boku jedna, czy druga chatka. Przejeżdżamy przez jezioro i nagle widzę, że ten lasek się rusza. "Lisek" mówi: "Siostrzo, tyraliera idzie". Gdy wpatrzyłam się dobrze, to zobaczyłam idących tyralierą bolszewików. Były to jeszcze małe pioneczki, więc szybko zawróciliśmy. Wjeżdżamy, widzę wszystkich chłopców stojących ze spuszczoneymi głowami. Pytam: "Dan?" Okazuje się, że gdy gospodyni poszła doić krowę, a chłopak poszedł siusiu, "Dan" się nachylił, wziął termofor i wypił wodę. I koniec. Czyli mamy pogrzeb "Fakira" i "Dana". A bolszewicy siedzą nam na nosie. Chłopak, który był

najstarszy stazem partyzanckim, zrobił zbiorke: ostatni hold poległym. Poprosiliśmy gospodarza. Trumny były już zrobione i schowane głęboko w sianie. Obiecał pochować.

My musieliśmy czmychać jak zające. I tak czmychaliśmy po terenie od 4 do 23 lutego. Zosię Matusewiczównę, która też przypadkowo trafiła do nas, odesłaliśmy do Wilna. No bo oddział rosi, a jak było w terenie? Jaka była sytuacja w Wilnie? Chiopcy, którzy byli w partyzantce czy w organizacji, nie mieli miejsca na świecie. Powiedziano, że można zgłaszać się do armii Berlinga - wielu aresztowano. A kto wiedział, czy jego też właśnie nie aresztują? Więc dekowaliśmy się w domu. Do domu przychodzili nocami, wyrwali podłogi, rozwalali stodoły. Szukali. Nie mieli miejsca na ziemi i w końcu z powrotem szli do partyzantki. I z powrotem oddziały rosiły, a im większy oddział, tym trudniej się skryć. A w terenie zaczęły powstawać oddziały "istriebitielej". Formowano je z chłopaków nie zorientowanych, ciemnych, których skaptowano do współpracy przeciwko polskiej partyzantce. I takie oddziały "istriebitielej" miały za zadanie wyszukiwać nas.

My jedziemy nocą, nie wiedząc, co nas czeka w każdej wsi. Dekujemy się w jakiejś guszy i czekamy. Nie wiem, na co czekamy, ale czekamy. A oddział rośnie. Było nas już może pięćdziesiąt, a może więcej osób. Rannych było dziewięciu, trzech bardzo ciężko. Trzeba powiedzieć, że na naszej drodze spotykaliśmy różnych ludzi. Przeważnie życzliwych, przeważnie takich, którzy starali się nam dać co mieli. Bodaj miskę kartofli. Rzadko było rzeczywiście dużo jedzenia, ponieważ ludzie byli biedni. Czasem nie mieliśmy nic. Byliśmy głodni. Więc żartobliwie plastrem zaklejałam chłopcom buzie i mówiłam: "Spijcie grzecznie". Ale humory dopisywały, bo wszyscy byli młodzi. Młodość to jest młodość. W głębi partyzantki byłam pierwszy raz. Szokujące było dla mnie, że zaledwie pożegnaliśmy "Fakira" i "Dana", i tylu innych zginęło, a chiopcy zaczynają śpiewać i żartować. Scisnęło mi się serce i pomyślałam sobie: "Jak wy możecie? Dopiero żegnaliśmy "Fakira", "Dana", innych." A oni mówią: "Siostrzyczko, dziś oni, a jutro my. Przecież normalne." Rzeczywistość była taka smutna. No, żartowaliśmy nieraz, bo co nam zostało? Ale między innymi, pewnego dnia jeden z chłopaków, taki Franek, przechodząc przez wąskie drzwi wiejskie, uderzył automatem o framugę, sam sobie strzelił w brzuch. Strasznie cierpiał.

Dojaczyna do nas w terenie taka Janka, dziewczyna, której ja nie chciałam przyjąć do partyzantki. Komendant radził się mnie, co ma zrobić, bo chiopcy ją znają i ona bardzo chce, i chiopcy chcą. Wystarczył mi jeden rzut oka na nią i powiedziałam: "Chcesz mieć przykrości? Proszę cię bardzo. Zrobisz jak zechcesz, ale ja bym nie radziła". Zdawało mi się, że dziewczyna nie powinna iść do partyzantki na flirty, tylko jeżeli chce coś robić i pomagać. Została u nas jednak. I właśnie ta Janka, kiedy Franek został ranny, podjęła się sprowadzić z niedaleka wujka-lekarza, czy znanego wujkowi lekarza. Pojechają. W drodze spotkają rzekomy oddział wiasowców. Rzekomy, bo jak potem było wiadomo, NKWD stworzyło na swój użytek taki prowizoryczny oddział niby-wiasowców dla nawiązywania kontaktów i wyłapywania partyzantów polskich. Ponieważ oni byli "anty" i my również "anty", no więc... Przyjechali z nią. Ona ich przyprowadziła. Uwierzyła, że to są wiasowcy, że mają lekarza. My zdziwieni. Oni z białą flagą. Ona idzie na czele. Nie było zresztą wyjścia. Akurat robiliśmy obiad. Zaprosiliśmy ich do stołu. Lekarz zbadał Franka i powiedział, że nie ma w tej chwili żadnych medykamentów. Może my mamy kontakt z Wilnem, może je stamtąd dostaniemy. Chiopcy już byli gotowi powiedzieć, że my im "owszem, ułatwimy". Ja deptę na nogę, bo my naprawdę nie wiemy, kim oni są. No, mówiliśmy, że posłaliśmy rączniczkę do Wilna, że straciliśmy kontakt, że może coś zapiemy. Obiecaliśmy im. I oni w rewanzu za

odprowadzić, my im dziękujemy, ale oni obstają przy swoim. Był luty, więc szybko zrobiło się ciemno. Z powodu tych ciemności nie zapamiętałam "Hajduczka". W końcu sanie ruszyły; nasze jechają ostatnie. I w pewnym momencie, w tej ciemnej nocy, brysk, straż i w tym brysku widzę, że strażnicy lecą w "Liska", pierwszego, poprzez te wszystkie sanie. W tym samym momencie nóż w plecy chłopaka, który siedział u nas na kozle. Naturalnie każdy z nas rękę do pistoletu, ale ręce już związane. Już chwycili nas za ręce ci, co stali na saniach.

I tak się skończyło nasze wojowanie. Związani. I od razu po kieszeniach: zegarki, długopisy, wszystko, bo to nielegalne i nie trzeba tego zapisywać. "Oszmonali" nas dokładnie. Zabili "Liska" i "Szczupaka", to on jechał na kozle, zabili i "Chętnego", który był na drugich saniach, tak samo nożem. Związali nas i rzucili w sanie. Na nogi nam wrzucili Stasia Protasewicza, który miał tę gojącą się już ranę. Ze ściągniętymi do tyłu rękami bardzo cierpiął i prosił: "Siostró, niech Siostra coś zrobi". Nie mogłam, sama miałam związane ręce, więc prosiłam żołnierza, który stał na przodach: "Słuchaj, to jest ranny. Ja ci ręczę swoim życiem, że on nie ucieknie. Rozluźnij te ręce". - "Niczewo, nie podochnijet." I tak do końca. Biedny Stas starał się nie jęczeć, ale czasem, gdy sanie podskoczyły, to - niestety.

Wzięli nas wtedy chyba siedem osób: "Wiś", "Grab", "Pilot", Stas Protasewicz, Hanka, Janka i ja. Reszta została tam. Wzięli nas jako "języki", jak to się mówi. Jak już był dzień, dojechaliśmy do Oszmian. Wwożą nas na dziedziniec NKGB, a tam przy wjeździe stoi "Hajduczek", obok niej "bojec". Przejeżdżamy koło nich, a Hanka mówi: "Hajduczek, jak się czujesz w nowej roli?". Ona myślała - w roli więźnia. A ja mówię: "Hanka, przecież ona ma ręce w kieszeni". Hanka tak się obejrzała i mówi: "Rzeczywiście". A ta tak się uśmiechała; ręce w kieszeniach, obok niej "bojec", stoją tak i uśmiechają się.

I tak rozpoczęło się śledztwo. Chłopców strasznie pobili. Nas tylko kopali. Cały dzień leżaliśmy związane na podłodze, jak te pieski, a koło nas tupali buciorami żołnierze. Kładł taki bliźniutko nas autoamt i mówi: "Choroszyje dziewczuszki! No, żarko dziewczuszek, choroszyje!. Nu, ransze my z nimi poigrajem, a patom "klek"! - młasnęcie językiem o podniebienie. Tego typu rozmowy i różne wulgarne żarty. I człowiek patrzy na ten automat, którego lufa leżała dosłownie nad moją głową. I myślałam sobie: "Jezus! Maria! Nawet sobie człowiek nic nie może zrobić przed tymi różnymi obietnicami.. No, nic".

Leżeliśmy więc tacy pobici i pokopani. Chłopcy byli tak zbici i spuchnięci, że ich nie poznawałam. Leżąc na korytarzach, mieli okno wychodzące na podwórze, na ten duży dziedziniec, na który nas przywieźli. Widzieli jak przywieziono jedną czy dwie ciężarówki pobitych bolszewików. Czyli tam była akcja. Chłopcy rzeczywiście czuwali i nie dali się za darmo. Naturalnie wszyscy zginęli. Ale nie dali się za darmo. Ktoś powiedział: "O, swójoczy, naszych skółko pobili!" - Chłopcy to usłyszeli. I wtedy ich bardzo pobili.

Wkrótce, na drugi czy trzeci dzień, przywieziono "Komara", czyli ich oddział też wpadł i też za sprawą "Hajduczka". "Komar" na pierwszym śledztwie, trzasnął w pysk generała, który go nazwał bandytą. Oberwał za to bardzo, ale powiedział: "Mam satysfakcję przynajmniej. Bo ja nie jestem bandytą, ja jestem żołnierzem." A ten "Hajduczek" chodzi teraz na spotkania z ludźmi. Bohaterka wielka. Ma dwoje pięknych dzieci, przed którymi udaje drugą Emilię Plater. Jej matka była podobno Ormianką, ojciec Polakiem. Być może podsunięto jej jakąś kłódkę myśli, że ona jest "Nasza i musi dla naszych pracować".

Z Oszmiany przewieziono nas do Wilna, na ulicę Magdaleny, do oficyny pałacu biskupiego. Była to taka "pieriesyika", małe

więzienie, gdzie krótko trzymano przywiezionych z terenu. Siedzieliśmy tam jeszcze w maju. Pamiętam, 9 maja, w podwórko przez okno wychyliła się do połowy sowietka, jakś urzędniczka, słońce padało na nią, a ona taka radosna, trzepotała rączkami i krzyczała "konczyas wojna!". Myśleliśmy, że jeśli to koniec wojny to może i nas wypuszczą.

A za jakiś czas, przewieziono nas na Łukiszki. I właśnie tam były bardzo męczące śledztwa. Mnie męczono szczególnie sprzecznymi informacjami o śmierci mojego brata. Nie wiedzieliśmy, czy wszyscy wtedy zginęli, czy ktoś przeżył. Śledczy igrał z moimi uczuciami, aż kiedyś zdecydowanie powiedział, że Stas nie żyje. Fizycznie nie znęcano się nad dziewczynami. Trochę pokopali, trochę pobili po twarzy, straszili bardzo różnymi hecami. Ale chłopców bili bardzo. Przede wszystkim byli już strasznie zbici w Oszmianie. Jak nas przewożono do Wilna, to podstawiono na dziedziniec taki ogromny samochód ciężarowy, a w nim z obu stron ławki. Naturalnie chłopcom związane ręce. Czy nam też, nie pamiętam. Siedzieli z nami strażnik, albo dwóch. Mnie posadzono koło jakiegoś monstrum. Ogromna, sino-torto-zielona głowa, bez oczu, tylko jakieś szpareczki, zapuchnięte, zakrwawione, nie zmyta dobrze krew. I to monstrum uśmiecha się do mnie. Ręce ma z tyłu związane i uśmiecha się tak jakos wstydliwie. A dlatego, bo ja go nie poznaję. Wreszcie pyta: "Siostra mnie nie poznaje?" - zęby powybijane. "Kto ty jesteś?" - Stas Protasewicz. Chłopak, który był ranny. Piers i ramię poszarpane rozrywną kulą. On wyżył, ale był zbity tak potwornie, że miał prawie dwukrotnie większą głowę.

Śledztwa były różne. Były konfrontacje. Do wielu rzeczy nie przyznawaliśmy się. Bałam się, żeby nie wydać nikogo, żeby niepotrzebnie nie powiedzieć jakiegoś nazwiska. Naturalnie potem dowiedzieliśmy się, że wszyscy chłopcy z naszego oddziału zginęli. Od nas chcieli informacji o kontaktach w Wilnie. Twierdziłam, że nie mam żadnych kontaktów, że do oddziału trafiłam przypadkowo, odwiedzając brata, że nie miałam nic wspólnego z AK. Nawet się nie przyznajam, bo też mnie o to nie pytano, że byłam w Kałudze. Chłopcy prawdopodobnie tak samo zeznawali, więc chyba mi uwierzono. Tym niemniej myśleli, że dużo wiem, bo cieszyłam się szacunkiem chłopców. Szantażowali mnie "komandaszą". Nawet do celi podstawiali mi "stukaczki". Kiedyś przyprowadzono do mnie bardzo sympatyczną Grażynkę, Litwinkę. Ktoś z dziewcząt z innej celi przestrzegara mnie przed nią. Przedstawiła się, że jest partyzantką litewską, siostrą "żelaznego Wilka", że zna partyzanta Wilka. Rozmawialiśmy z nią, byliśmy dla niej miłe, ale nie specjalnie szczerze. Kiedyś Nina Wojnicka, albo inna z dziewcząt przerzuciła kartkę przez mur. Zdążyłam przeczytać: "Grażyna sypie". Porwałam kartkę, zanim ona zdążyła przeczytać. Była bardzo niezadowolona. Urządzono nam prowokację. Siedzieliśmy z dwiema żydówkami i jak potem dowiedzieliśmy się, Grażyna ukradła im kawałek kiełbasy. I rzekomo za to, całą naszą celę wyprowadzono do pustego pawilonu; mnie na najwyższe piętro. Był koniec listopada, bardzo zimno, okno wybite. Cella kamienna - i ściany i podłoga. Tylko u progu deseczka, chyba 8 centymetrowej szerokości. W naszej celi było ciepło, więc siedziłam w letniej sukience, którą podarowała mi jakaś wychodząca nauczycielka. Ja przecież byłam aresztowana zimą, w spodniach z siermięgi (takie spodnie galiffe?), w wysokich, swoich własnych butach; miałam też kozuch i sweter. Zabrano mnie więc z tej celi w wysokich butach na bose nogi i w letniej sukieneczce. Na początku, jak jeszcze mogłam, gimnastykowałam się, chodziłam, śpiewałam, machałam, ale potem... Założyłam głodówkę jako protest, no, bo z jakiej racji? Z jakiej racji posadzono mnie do karceru? Śniabym z każdym dniem. Podstawiali mi michy kaszy, a ja na to: "Nie chcę waszej kaszy, żadnych waszych skwarek, żadnych smacznych zup pachnących! Dajcie mi naczelnika więzienia! Ja protestuję przeciwko

temu, że siedzę w karczerze, bo z jakiej racji?!". Za kilka dni podrzucono mi zakrwawioną Grażynę. Weszła niby śmiejąca się taka: "Ale mnie urządzili". Z nosa jej krew cieknie, ale gdy ją wytarła, zobaczycie, że nie jest pobita, że to po prostu był bluff. Użalała się przede mną, namawiała do udawania głodowki i podjadania po cichu. W końcu zobaczyła, że nic ode mnie nie wyciągnie. Za jakieś dwa dni wyprowadzono ją ode mnie.

Ja głodowałam chyba 6 dni. Na początku nie pozwalano mi siedzieć na tym kawałku deski, bo strażnik musiał mnie przez "judasza" widzieć. Gdy zaczęłam padać z nog, dał mi spokój. Od czasu do czasu otwierał drzwi, żeby zobaczyć czy jeszcze żyję. W końcu tak osłabiałam, że tylko spałam. Śniły mi się przepiękne sny. Byłam w raju, w przepięknym ogrodzie. Kwitły jakieś przeogromne lilie, kwiaty nieznannej piękności. Cały ten ogród wypełniała jakaś precudna, delikatna, kojąca muzyka. Gdy mnie budzono, byłam wściekła. Zasypiałam natychmiast. Po tym ogrodzie snuli się jacyś święci, uśmiechali się do mnie. I w pewnym momencie słyszę dźwięk kluczy, tupu-tupu po żelaznych schodach, już nie jedne kroki. Dźwięk kluczy - trach-bach - otwierają się drzwi, jeszcze nie byłam wybudzona ze swoich majaczeń, podnoszą mnie za łokcie. Sprowadzają na dół, a właściwie niosą po schodach, bo ja już nie stałam na nogach. Naprzeciw mnie, z dołu szedł korpusek. Widzę jego twarz, jak z normalnej robi się przerażona. Oczy otwarte coraz szerzej, nawet usta się trochę otwary. I kiedy on brał mnie pod rękę, żeby zaprowadzić do swojej celi, to szepnął mi w ucho: "Dziewuszką! jej Bogu, eto nie ja." Musiałam pięknie wyglądać! Ten cały karczer, razem z Grażyną, był po to, żeby wydobyć ze mnie coś więcej. Ale się nie udało. Przeprowadzono mnie z powrotem do mojej celi. Nawet pozwolono mi leżeć na tak zwanej "prowierce", z rana i wieczorem. Leżałam przez kilka dni, a dziewczyny tak o mnie dbały, chuchały i dmuchały, że doszłam do siebie.

Z więzienia na Łukiszczkach wzięto nas na proces gen. Okulickiego, jako świadków wydarzeń po 17 lipca 1944 roku. Zaczęło się od tego, że zabrano nas z celi. Nie do karczeru, jak zwykle, tylko do oddzielnego korpusu, do celi normalnej. My z Hanką osobno, dwie dziewczyny. Posłano nas do łaźni, dano większy kawałek mydła, żebyśmy ładnie głowy umyły. Myślaliśmy, że to może przed śmiercią. Przyszliśmy z łaźni; przyniesiono nam ogromne miski kaszy. O Matko, czy nam przed śmiercią tak dają jeść? Przychodzi nasz śledczy, Emilianow, podobny do żyda, może Gruzin. Bardzo grzeczny, uśmiechnięty: "Dziewuszki! Dziewuszki!" Ktoś inny pyta o nasze głowy - Matko Święta! co im do naszych głów? "Niet, niet, eto dziewczuszki czystyje. U nich włosy czystyje, ich nie nada... Wszedź nietu. Oni czyszcienkije, choroszenkije dziewczuszki." Nic z tego nie rozumiemy. No i wyprowadzają nas na podwórko, wsadzają do "czarnego worona". Słyszymy: puk-puk, więc ktoś tam jeszcze siedzi. "Czarny woron" ma kilka boksów z jednej strony, kilka z drugiej, strażnik pośrodku. Rozmawiać nie można. Przez małą szparkę widzimy, że już skończyło się miasto. Za miastem. I gdy się auto otworzyło, znaleźliśmy się na lotnisku. I, coś podobnego! Spotkaliśmy tam "Pilota", "Graba" i "Wisia", tego, który zastępował komendanta. No i naturalnie Hanka, ja i Basia Matusiewiczówna, która jako łączniczka była posłana do Wilna i w Wilnie wpadła, ale ją dołączono do naszej sprawy. Jechali też wtedy pan Kokociński z BIP-u AK i jeszcze kilku innych panów. Chłopcom naturalnie założono kajdanki, a nasz Emilianow, przy wsiadaniu do samolotu podtrzymywał nas elegancko za łokieć i mówi: "Dziewuszki, szczęśliwego puti! szczęśliwo wozwraszczajties!" Myślaliśmy sobie: "Co on taki "wieźliwy"? W samolocie posadzili chłopców na podłodze, każdemu założyli kajdanki. My z Hanką wystawiamy z gracją ręce, a oficer, jakiś wyższy oficer, mówi: "Niet, niet. Dziewuszkom nie budiem." Chłopcy siedzieli w dwóch

rzędach, ja przy okienku na jakimś worku. I tak dolecieliśmy do... moskiewskiego lotniska. Na lotnisku przesiedzieliśmy na prytach kilka godzin. Pamiętam, jakie szokujące wrażenie zrobił na mnie wyższy oficer, chyba jakiś kapitan. Szedł po lotnisku, drubał "siemieczki" i na wszystkie strony: tfu! tfu! Dla nas to było niepojęte. Prawda? Kapitan! W mundurze - "siemieczki" - cyk, cyk, cyk - tfu, tfu! tfu! Więc my wszyscy rozeźmieliśmy się głośno.

No i znowu "czarnym woronem" zawieszono nas do więzienia. Na Łubiankę. I tam już w pojedynkach. Każdego osobno fotografowano; z różnych stron, z deseczkami, z numerami, z nazwiskami. Na doł zjeżdża się windą. Korytarze wyścielone czerwonym dywanem. Cichutko. Nie słychać jak ktoś idzie. Przy załamaniu z korytarza w korytarz, strażnik daje znak ręką, żeby stanąć. Jeden idzie z przodu, drugi z tyłu. Ja stoję, a ten, który idzie z przodu, przed załamaniem daje głośno znak, podobny do skrzeku żaby. Raz albo dwa. Z dalszego korytarza, takim samym skrzekiem, odpowiada inny strażnik. Przejście wolne. No, więc idziemy dalej. Jeżeli prowadzą kogoś tym samym korytarzem, strażnik każe mi stanąć twarzą tuż przy ścianie, żebyśmy się z innym więźniem nie widzieli.

Pojedynki. Na Łubiance rzeczywiście siedziałam sama przez cały czas. Cella była bardzo elegancka. Froterowany parkiet. Łóżeczko z miękkim materacem, z białym prześcieradłem! Tylko nie wolno spać, mając ręce pod kocem. Co chwila ktoś budził: "Arestowana! Ruki na wierzch! Ruki na koc!" Musisz te łapki trzymać jak piesek. To było bardzo męczące. Lubię spać na boku, na brzuchu, a nie tak. Możesz sobie coś zrobić. Żyły przeciąć na przykład, czy coś w tym rodzaju. A śledztwo nie skończone, a to Moskwa, i cudzoziemki przywiezli. Straszne. Poza tym kucharz w białym fartuchu przez otwarte okienko na tacy, na tacy! podawał posiłki. Cukier do kawy i do herbaty dawano. W ogóle czajnik stoi na stoliku, czajnik i kubeczek! No, Wersal. Ale jest taka cisza. Męcząca. Bo na Łubiankach to myśmy się przestukiwały; jak nie w podłogę, to w sufit, jak nie w sufit, to w ścianę, jak nie, to ręce chodziły między oknami. A tu nic. Próbowałam śpiewać, może ktoś mnie usłyszy. Otwiera się okienko: "Arestowannaja! nie lzia!" Próbowałam gimnastykować się: "Arestowannaja! nie lzia!" Próbowałam skakać i ktoś z nudów robił wszystko: "Arestowannaja! nie lzia!". I tego "nie lzia!" i tamtego "nie lzia!" Tak, że zostawały mi tylko jaskółki przelatujące czasem i mały skrawek nieba. I tyle.

Z Łubianki wywieziono nas na Butyrki. Nie wiem, czy to było w trakcie procesu, czy już po procesie. W każdym razie znowu podczas przewożenia stworzono sytuację, że już nic nie trzeba, że to koniec, że jadę na rozstrzał. Psychologiczne chwytły, mające na celu zmęczenie człowieka. Można było jechać z "wieszczami", ale ja nic nie miałam. Tylko to, co na mnie. Gdy nas przewożono, wsadzono nas do takich boksów, w których można było siedzieć tylko opierając się biodrami o ścianę, plecami i nogami, kolanami o drzwi. Jak ktoś miał długie kolana, to nie mógł się pomieścić. Krat tam nie było. Po prostu: drzwi, ściana, okienko, taki boks. I twarda ława, na której siedząc, kładłam nogi na ścianę, albo, gdy już nie mogłam siedzieć, stawałam na niej. No, bo w takim boksie siedzieliśmy chyba cały dzień. Jeszcze przed wyprowadzeniem do "czarnego worona" spotkałam w holu Hankę. Jeden ze strażników mówi: "A gdzie ich wieszczę?" Drugi na to: "Im użę niczego nie nada." Wsadzili do "czarnego worona", dokąd wiozą, nie wiadomo. Tym bardziej po takich obietnicach. Ile razy żegnałam się, czy odmawiałam "Ojcze nasz" i "Pod Twoją obronę"? Żal było tylko, że tak daleko, że tak mało ktoś robił, żal aż do bólu. Bo za co właściwie?

Zawieszono nas na Butyrki. To jest całkiem inne więzienie. Tam żadnego komfortu. Czerwone, straszne, brudne, ponure więzienie - Katarzyny chyba. Hanka trafiła do pojedynki, a ja do ogromnej celi na 20 czy 24 osoby. Na środku duży, ogromny stół i jeszcze dużo

miejsca wokół stołu. W rogu stały wiaderka, miednice, wiadro na brudną wodę, wiadro na czystą wodę, no i - jak zwykle - "parasza". Kozka to były takie ramy, obciążone brezentem i odkładane na ścianę. Nie było na nich żadnej pościeli i na dzień się je odkładano. To nie była łubianka. Po prostu spało się tylko na tych narach. Ale ja miałam swój partyzancki kozuch, więc miałam na czym spać i czym się okrywać.

W celi było nas chyba 14, przeważnie Rosjanki. Potem przyszła Polka, Cesia Hnatowna ze Lwowa, też z procesu Okulickiego. Za kilka dni przyprowadzono bardzo piękną starszą panią. Bielutkie włosy, tak ładnie w kok uczesane, czarna suknia; taka elegancka i dostojna. Zależniona. Ukłoniła się i nic nie mówi, stoi. My mówimy po polsku: "Proszę, tu jest wolne miejsce." - "Dziewczynki! to Wy jesteście Polki?" - "A Pani?" - "Ja także. Ale ja tu już dawno mieszkam." I opowiedziały nam z piącem całą historię. W 27 roku, jako komunistka z bratem także komunistą, przeszła przez zieloną granicę, rzucając 2-letnie dziecko i męża lekarza z Warszawy. Przeszła do rajy. Tam wyszła za męża za jakiegoś majora, który w czasie tej czystki zginął. Wyszła z domu i nie wróciła. Została sama, jakos jej nie ruszano. O dziwo, bo przeważnie rodzina też cierpiała, tym bardziej Polka. Jej jednak nie ruszano. I teraz poszła do pani Wandy Wasilewskiej, która zdeklarowała się ułatwić Polakom powrót do Polski. Naturalnie. Bardzo sympatycznie z nią rozmawiała, po czym poprosiła poczekać w następnym pokoju. Czekała ze trzy godziny, aż przyszedł jakiś pan z czerwoną otoczką i zaprosił ją do następnego gabinetu. Stamtąd, bez żadnego śledztwa, wyprowadzono ją, wsadzono do "czarnego worona" i przywieziono na Butyrki. Zmieniła już kilka cel, na żadne śledztwa jej nie biorą. Jest w rozpacz. Zamiast do Polski, trafiła do więzienia. Urządziła ją pani Wanda Wasilewska - wielka patriotka.

Z Butyrków nas wszystkich znów w "czarny woron", ze zwykłym "Nic im nie trzeba" itd, ale my to już znamy. Jedziemy do Polski. Już nie samolotem, ale starypinowskimi, więziennymi pociągami. Jadą z nami także pan Kokociński i inni panowie. Pociąg, to korytarzyk i klatki, jak tygrysie, od męskich dzielą nas tylko ściany. Wyrwamy się z tych swoich klatek żeby posprzątać wagon, jesteśmy strasznie spragnione czynu, ruchu, a tak naprawdę to po to, żeby porozmawiać. Jest bardzo ciasno, ale jakos się jedzie. I szurając scierką pod męską celą, pytamy pana Kokocińskiego: "Proszę Pana, jeśli Okulicki dostał 10 lat...", bo już wiemy, że to był proces i kto ile dostał, "Jeśli Okulicki dostał 10 lat, to co my, piezki?" A Kokociński pokiwał tą swoją siwą głową i mówi: "Dzieci! Dzieci! My dostaniemy dużo więcej." Dlaczego? przecież ... Nie bardzo wierzyliśmy tym pesymistycznym prognozom.

Wróciliśmy do Wilna. I proszę sobie wyobrazić zdumienie strażników: przyprowadzają nas z dworca pod Łukiszki, bramy, te więzienne bramy otwierają się ze zgrzytem, a my rozradowane jak skowroneczki. Nasze więzienie! To nie Butyrki. Strażnicy pierwszy raz zobaczyli rozradowane, omalże nie śpiewające dziewczyny, wchodzące do więzienia. No i zaczęły się różne historie, różne cele, po 36 osób w jednej celi. Jezus Maria!

Nareszcie nas prowadzą na sąd na Arsenalską. Prowadzą nas, a ja modlę się w duchu po drodze, żeby tak kogoś spotkać, żeby komus podać adres, żeby ktoś powiedział mamie, że ja tu jestem. Przecież mama nic nie wie. Prowadzą nas z Łukiszek pieszo, brzegiem Wilii, koło Pałacu Wróblewskich. I Bóg wysłuchał moich modłów! Dochodząc do rogu Pałacu Drzewieckich zobaczyłam idącą Misię Drzewiecką, z którą uczyłam się w szkole podstawowej. Wołam "Misiu!" - Ona patrzy przerażonymi oczami, a ja mówię: "Chęjska 80. Powiedz mamie, że idziemy na sąd tu na Arsenalską.". Ona zamaria, chwyciła się za głowę, zbladła: "Wanda!". "Nie przejmuj się" - mówię. A tu mnie - raz! - kolbą w plecy. "Mażczat'! ty takaja-siakaja!" Tak, ale ja już

wiem. Misia pjdzie. I rzeczywiście poszła.

Tuż za rogiem, kilka domów dalej jest ten "wojennyj sud". Zaprowadzili nas na górę. Jakiś czas czekaliśmy w przedsionku czy klatce schodowej, z ogromnym oknem na podwórze. No i tam, po jakiejś chwili zjawiła się moja mama, brat i bratowa. Widziałam ich przez okno i oni też mnie widzieli. Tkwili kilka godzin na tym cementowym podwórku. Jak wygląda sąd? Za stołem siedzi prokurator, niska szyja razem z głową, taki straszny, ordynarny tępak; obok niego bardzo przystojny, sympatyczny, śmiejący się lejtnant, uśmiechnięty, omal ze flirtujący z nami, niesamowicie; dalej jego sekretarz i jeszcze kilka osób, razem chyba pięć. Oni mówili po rosyjsku, my po polsku; wtedy jeszcze nie znaliśmy rosyjskiego. Sądzone około 25 osób, bo do nas dołączono grupę "Komara". Pytano wszystkich po kolei. Czytano oskarżenie, ale te rosyjskie "stacje" nic nam nie mówiły; 58 - 1a - 11, było nam "wsio-rawno." W "1a - 11" była zdrada ojczyzny, z bronią w ręku, pojedynczo i grupowo. Z naszej grupy dwaj chłopcy "Pilot" i "Grab", dostali wyrok śmierci. "Wiś" nie wrócił z Moskwy. Ja, Hanka, Staś Protasewicz i Wacek, którego nazywaliśmy "Kluchą", dostaliśmy po 20 lat. Zoska Matuszewicz dostała 10 lat. W naszym ostatnim słowie stwierdziliśmy, że już wszystko zostało powiedziane i nic mówić nie chcemy. Tylko Zoska: "A ja bym phosiła (bo "r" nie wymawiała) wysokiego sądu, żeby wysoki sąd dał mi hówniej 20 lat, tak jak moim koleżankom, a nie 10." Oni myśleli, że Zoska kpi z nich. Prokurator otworzył gębę. Lejtnant parsknął śmiechem. Tamten spójrzył na niego wzrokiem bandyty. Ten zaś zatkał sobie buzię. A to dziewczę, Zosia, stoi sobie i mówi: "Tak tak, Ja bym phosiła 20 lat katohgi, a nie 10 lat «zakluczenija», bo ja chcę być z koleżankami." Oni osłupieli, bo jeszcze w życiu z tym się nie spotkali, żeby ktoś prosił o dwadzieścia lat katohgi! No, nic nie odpowiedzieli, biorąc to za kpiny. I tak się skończył nasz sąd. Wyprowadzili nas, a tam na dole pytają: "Ile?" - Poszłam im całusy i pokazałam "5 lat". Nie mogłam przecież powiedzieć "20", bo mama by tam trupem padła. Powiedziałam "5 lat" i myślę sobie: "Przeżyję te pięć lat, to dobrze, a nie przeżyję, to po co mam teraz mamę martwić." No i siedziałam w sumie, licząc z więzieniem, jedenascie i pół lat.

No i tak się skończył nasz sąd. Odprawiono nas z powrotem do więzienia, ale już nie wsadzono do normalnych cel, tylko do "podwazów". Skazanych na śmierć i katorgę sadzano na łukiszkach w podwazy. To były cele śmierci. Siedzialiśmy tam chyba miesiąc. Skazani chłopcy, "Pilot" i "Grab" zostali rozstrzelani. "Pilot" jeszcze w więzieniu był tak potwornie ciężko chory, że na sąd przyszedł jak cien, ledwo żywy. A biedna jego matka była na podwórku przed sądem.

W końcu listopada, albo w pierwszych dniach grudnia, wyprowadzono nas na etap. Każda z nas dostała na drogę siomiane buty i kawałek chleba. Niby oddawano zarekwirowane przedtem rzeczy, ale nam wszystko odebrano podczas aresztowania i w depozycie nie miałyśmy nic. Spędzono wszystkich na dziedziniec i tam były pierwsze spotkania z koleżankami i kolegami, ze znajomymi z Wilna i spoza Wilna. Kazano nam długo siedzieć na zmarzniętej ziemi. Liczono nas tysiąc razy. Wyprowadzono potem za bramę i ustawiono w kolumnach. Szliśmy szerokimi rzędami, chyba po 10 osób, żeby łatwiej było nas liczyć. Wiecznie się w tym liczeniu mylili. Przed więzieniem stary auta, do których wsadzano ciężko chorych ludzi, nie mogących ustac na własnych nogach, i wieziono ich na etap. Szliśmy przez Wilno w taki szary, jesienny dzień. Śniegu jeszcze nie było, ale było zimno. Szliśmy tak powoli, specjalnie. Oni nas poganiali, z dwóch stron odganiali ludzi, a nas poganiali. Szliśmy i wzrokiem zegnaliśmy to miasto. I myśleliśmy sobie: "Mój Boże! czy my jeszcze kiedyś to Wilno zobaczymy?"

Załadowano nas do bydłych wagonów. W pewnym momencie doprowadzono do nas jeszcze dwie katorżniczki: Basię Sipową i Bronię

Kuciuk. Bronia współpracowała z Chrzęszczewskim, z Wandą Nowicką. Basia była szefową wszystkich "Koz" wileńskich, młodych dziewcząt - łączniczek. U Basi często mieszkał "Wilk". Był to zresztą bardzo konspiracyjny dom. Ruszyliśmy. Wagony były potwornie zapchane. Nas, dziewcząt katorżniczek było trzynastie - "nieszczastnych" - jak oni mówili, jechaliśmy oddzielnie i mieliśmy dość miejsca. Zaraz po ruszeniu z miejsca wyrzucaliśmy z pociągu różne grypsy, różne kartki, świstki, skręcone papierosy, z jakimikolwiek wiadomościami o nas, o dacie odjazdu i o tym, że jedziemy w nieznane. Przecież nie wiedzieliśmy, dokąd jedziemy. Liczyliśmy na przygodnych ludzi znajdujących te karteczki, że zawiadomią nasze rodziny. Jechaliśmy bardzo długo, prawie miesiąc. Jazda tym pociągiem to była po prostu gehenna. To osobna karta historii. Ta drewniana rura, zbita z czterech 20 centymetrowych desek, mająca służyć za spływ wszystkiego... Ta beczka ze smierdzącą zupą, nigdy nie myta. Chleb zmarznięty. Piecyk, w którym nie chciało się palić, bo drzewo mokre. Budziłyśmy się przymarznięte do ściany wagonu. Nie mogliśmy oderwać włosów, tak już w końcu było zimno. Wjechaliśmy w zapolarny kraj. Przed Bożym Narodzeniem trafiliśmy na Workutę. W pewnym momencie pociąg zaczął się cofać. Zaczęliśmy się cieszyć, że coś się odmieniło w aurze międzynarodowej, że wracamy. Ale to był tylko manewr pociągu. W końcu dojechalismy do Workuty na "pieriesyikę", na tak zwany "pieriesylny punkt". Workuta to dość duże miasto, wybudowane właściwie przez więźniów, tak, jak cały ten workucki basen węglowy. Do tejże Workuty budował drogę Zbyszek Wysocki, mąż Zosi. I gdy skoczył powtórnie, to powtórnie trafił na Workutę.

Na "pieriesylnym punkcie" dano nam buszkiaty, czyli waciaki, białe szmaty, jakieś stare koszule, brudne trafarety, które my, katorżnicy, powinniśmy nosić; 15 centymetrowej szerokości rąta na plecach, od ramienia do ramienia. Pierwsza warstwa buszkiata musi być wycięta pod spodem, żeby w razie ucieczki wiadomo było, że to katorżnik. Na spodnicy czy na spodniach, na wysokości kolana, mniejszy trafaret, taki jak połowa tamtego. Na trafaretach numery. I na czapce. Wyczytano nam te numery. Każdy tysiąc - to jedna litera i kolejne cyfry. Ja miałam numer "Cz-148". Po kilku latach były już podwójne numery. Po raz pierwszy pozwolono nam na kontakt z mężczyznami. Oni byli ulokowani w baraku na lewo, a my na prawo. Dano nam igły, nici, szmaty i kazano iść do mężczyzn, aby pomóc w naszywaniu. Opowiadania, kontakty, konfrontacje różnych spraw, różnych gwałtów, no i naturalnie żarty. Bo co nam zostało? Wśród mężczyzn był "Feniks"; nie odzywał się do nas, ani my do niego. Byliśmy wtedy bardzo srogie. Dzisiaj inaczej na to patrzę. Ale wtedy, kiedy i kobiety były bite, ja - niezbyt, ale inne bardzo? Bito bardzo Maszę Dudyczową, a przecież była jak mróweczka, chrupka, cienka, "tonka i przezroczna", jak oni mówili. Wtedy nie rozumieliśmy, jak można było aż tak się załamać, jak można było zdradzić kogoś? Przyjść na spotkanie z workiem. Nakrywali im głowy workiem i przywozili do NKGB. "Feniks" nie próbował nawet rozmawiać z nami, i my nie próbowaliśmy. Odosobniony, wyizolowany, leżał na narach. Ten człowiek całe życie żyje z tym kompleksem. My, naturalnie, kontaktujemy się z nim, ale on jest biedny z tą swoją winą i rozpaczą.

Kilka dni byliśmy na tym "pieriesylnym punkcie" zanim naszyliśmy wszystkie rąta. Spotkaliśmy tam Rosjanki, które po skończonym wyroku jechały do domu. Były to tzw. "bytowiczki". Niektóre z nich były dla nas przyjazne i sympatyczne i uwiadamiały nas jak powinnyśmy się zachowywać, co nam wolno, a czego nie, przed czym powinnyśmy mieć się na baczności; udzielały nam dobrych rad.

No i pewnego dnia powiedziano nam, że ruszamy do swojego rodzinnego obozu. Wyszliśmy więc na szosę, na drogę. Był bardzo jasny, jaskrawy dzień, aż raziło w oczy. Idziemy tylko z jednym konwojem. Z jednym konwojem - grupa kobiet, 13 tych nieszczastnych katorżniczek. Ja prawie wcale nie miałam swoich rzeczy, Basia miała

małeńki tobołek, ale ponieważ ledwo siebie niosła, to jej kolejno pomagaliśmy. I znów jak sikorki rozspiewane, rozdokazywane, bo idziemy tylko z jednym chłopem, który nas nie bardzo pilnuje. To dla nas było coś fantastycznego! Tak, jak to wejście na Łukiszki po więzieniu moskiewskim. Dookoła nas przestrzeń, już nie kraty, nie więzienie, tylko przestrzeń. Biały śnieg skrzy się i skrzypi, jakby spiewał pod nogami. Wprawdzie zimno było bardzo, aż świdrowało w nosie, ale w nas wstąpiła radość i otucha. Radość życia.

Podprowadzono nas po kilku godzinach pod II-gi OŁP, pod bramę kopalni nr 2. Przeogromna przestrzeń za podwójnymi drutami, wieżyczki. Nad bramą napis "Czestnyj trud ..." i coś tam ... "skoro oswobodzienie". Zanim znów nas policzyli, zanim odebrał nas naczelnik, stało się godzinami, wieczór się już zbliżał. A po drugiej stronie wachty zebrał się tłum, witający "nowych-nowienkich". Weszliśmy jak do miasteczka kowbojskiego, w różnojęzyczny gwar. Potwornie czarne sylwетки, brudne, bo to już kopalnia. Ludzie chodzą w tych samych ubraniach, w których pracują w kopalni. Prowadzą nas do baraku na kwarantannę, tygodniową izolację od wszystkich. Łazienka. Siedzimy w oddzielnym baraku. Były tam już Rosjanki, były Litwinki, nas dołączono do innych. Baraki żeńskie były wtedy poplątane z męskimi. Bardzo często, wracając z kopalni, trafiało się do męskiego baraku. A tam od razu wycie. Tysiąc rąk się wyciąga i nie wiadomo, czy się ucieknie. Podczas kwarantanny wyprowadzano nas na zewnątrz do prac przy śniegu. Całą grupą prowadzono do stożówki, a tam drugie kowbojskie miasteczko. Nad jedzącymi stoją "dochodziaki" i czyhają na wyrzucane ości z ryby; chwytają je jeden przez drugiego. Nie mogliśmy na to patrzeć i na początku oddawaliśmy im swoje porcje. Potem zobaczyliśmy, że to na nic, że same padamy z nóg po takim etapie. Zrobiono nam "komisówkę", żeby przydzielić nas do jakichś brygad. Audytorium w "San-Czasti" składało się z naczelnika kopalni, naczelnika obozu, naczelnika "San-Czasti" - lekarza czy lekarki, siostry itd. I my paradujemy przed nimi na golasa. Ja, chociaż bardzo chuda, ale duża, o szerokich kościach, dostajam "ciężoryj trud fizycznyj". Hanka - małeńka, szczupła, ledwie ją było widac tak schudła - "trud - na powierzchni". Ja do kopalni naturalnie. Basię, która ledwo stała na nogach, zabrano do szpitala; Bronkę, siostrę medyczno-operacyjną, do "San-Czasti", też zresztą ledwo się na nogach trzymała. Inne porodzieliłano do różnych brygad. Brygady były mieszane, kobieceo-męskie.

Na początku byliśmy bardzo zagubione, w niczym się nie orientowaliśmy. Porodzieliłano nas, poprzydzieliłano do różnych baraków. Hanka, mimo że z innej brygady, nie chciała mnie samej puscic do kopalni, więc poszła ze mną. U nas nie dostawała chleba ani jedzenia, bo nie była policzona, a tam ktoś zjadał jej "pajok". Naszą brygadzystką była żeńska, autentyczna bandytka. Ona i my dwie, a reszta brygady, to mężczyźni..

Jak wyglądała praca w kopalni? Przed wyprowadzeniem z zony, "nariadczyk" z deską zapisuje: taka i taka brygada, tyle i tyle osób. Liczą z tej strony, przekazują na tamtą, tam przyjmują, coś im się nie zgadza. Szur-szur na nowo liczą i znów zapisują. I tak stoi się godzinami, to z tej, to z tamtej strony. Wreszcie idziemy do kopalni, chyba kilometr, korytarzem, opiotkowanym po obu stronach do trzech metrów wysokim piotem, który zimną purgą zawiewała aż do góry. Szło się wtedy powyżej piotu, po ogromnej zaspie. Bardzo często trzeba było iść od OŁP-u aż do kopalni po przewiązanym sznurze, trzymając się, bo purga była tak silna, że z wysokości tej zasy zwiewało człowieka jak listek. No i wtedy koniec, nie znajdzie się nikogo w takiej zamieci. Tak się dochodziło. A jak byliśmy ubrani? Mieliliśmy już buszłaty, na nogi dali nam "czunie" z opon.

"Czułok" nie dostaliśmy. Dali spodnie. A spodnie były tak twarde, że można w nie było stuknąć od zewnątrz i od wewnątrz. Brudne potwornie, bo to przecież nie pierwszego "sroka", ale może pięćdziesiątego. Spodnie za krótkie, "porcianka" ze starej koszuli weszła w "czunie" albo wyszła i zanim doszłam do kopalni, to miałam na nodze krwawą, przymarznąętą do tego wszystkiego, obrączkę. W kopalni szukaliśmy drucików od odpałów i zawiązywaliśmy je tak, żeby i spodnie i "porcianki" się trzymały. Nie było żadnych kalesonów, żadnej bielizny. Po pracy w kopalni ubrania były zawsze przemoczone i nigdy nie było możliwości porządnego wysuszenia, gdyż w barakach było strasznie ciasno, a "suszyćeczka" była mała. Wychodząc do kopalni wkładało się mokre rzeczy, ale włożyć trzeba było i wyjść też, bo stał z kijem taki byk-nariadczyk i: "skorej! skorej! dawaj! dawaj!" Ten był szczęśliwy, kto nie dostał kijem po plecach. Działo się to w ciasnocie, zamieszaniu, tumultie i rwetesie. Gubiłyśmy się w tym i nie rozumialiśmy o co chodzi. I język był nam nieznany i wokół sami obcy ludzie. Gdy już pokonałyśmy korytarz i purgę, schodziłyśmy do kopalni. Oczywiście bez jakiegokolwiek przygotowania. Staraliśmy się tylko trzymać tak zwanych "swoich", ludzi ze swojej brygady. No więc brygada szła do tzw. lampowej, gdzie dawano lampki górnicze. Każdy kolejno dostawał swoją lampkę. Lampki były "zarazane", to znaczy zardowane naftą, ale bardzo często gasiły, przy pierwszym stuknięciu lampką o coś. Czasem udało nam się zapalić je ponownie od kogoś, ale częściej nie i wtedy korzystaliśmy ze świec innych; brygadziści, naczelnicy mieli akumulator przy boku i lampkę elektryczną z baterią na czapce.

Nasze pierwsze zejście do kopalni było tragiczne. Kopalnia miała 500 metrów głębokości, nie była jeszcze wykończona. Schodziło się na dół "stworzem", takim szerokim korytarzem. Na zęb na szyję. Na początku, bliżej wejścia, jest wszystko zamarznęte. Dalej jest ślisko, bo jest glina. Dalej jest cieplej, więc lód spływa po glinie. Ci, którzy jakiś czas tam już pracowali, wiedzieli jak stąpać, mieli światełka przed sobą i tylko cyk-cyk-cyk, szli w dół jak po schodkach. A my, głowa-nogi, głowa-nogi, przewracaliśmy się, a padając traciliśmy czas i coraz bardziej zostawaliśmy w tyle. Zeszliśmy na dół i stoimy, nie wiedząc co dalej robić. Paliło się tam elektryczne światło, było jasno, ale my byliśmy zupełnie zdezorientowane. Wreszcie ktoś krzyknął, wróciła brygadziстка i oczywiście do nas "takuju to waszu mat!" itd. "Gdzie wy?". Wzruszyliśmy ramionami, bo co my tu jesteśmy winne. Zabrali nas na tak zwany "uczastok", korytarz i dali ogromne łopaty, które puste trudno było utrzymać w osłabionych rękach, no i na tę "nawarkę". Korytarz, idący skłonem w górę, blaszany, poruszany elektrycznie rynsztok, potrząsający i zsypujący w dół węgiel. Ktoś bardzo słaby, kto nie mógł utrzymać w ręku łopaty, siedział i wybierał kamienie, tę tak zwaną "porodę", niepalną, odrzucał ją, a węgiel sypał się na dół do wagonetki podstawionej do wagonika. Węgiel z każdego wagonika wazył jedną tonę. Dalej więźniowie czy więźniarki toczyli te wagoniki, potem zabierały je konie, potem przeładowywano węgiel do większych wagonów, albo też wagoniki wyciągano do góry przy pomocy wyciągu.

Miałymy pracę dziesięciogodzinną, ale zanim nas wyprowadzono z zony, policzono, to trwało razem 14 godzin. Przekazywanie za zonę, zła zony do kopalni, zapisywanie nas na deseczce, pomyłki, zeszkrobywanie szkieł, znowu liczenie, znowu pisanie. Po tym wszystkim - do kopalni. Tam, pod ścianę węgla przychodził "borowszczyk" z dużym elektrycznym świdrem, borował, zakładał lont, wszyscy schodziliśmy w dół, następował odpał. Jeszcze był gaz w korytarzu, gdy nas już pędzono do narzucania odpalonego węgla na rynsztok. Naturalnie, staraliśmy się robić, żeby "robić", nie robić nie można było, bo stał nad nami "brygadir" czy dziesiętnik i: "dawaj! dawaj!" Byliśmy potwornie wycieńczone, przeszliśmy przecież 10-miesięczne więzienie bez paczek, ze "strogim reżimem" i prawie

miesięczną jazdę na Workutę, też o głodzie i chłodzie. Brakowało nam sił. Hanka Szyszkówna, mimo że mała, była bardziej wytrwała. Ona tak: szuch-szuch i węgielek leciał. Na łopatę - do rynsztoka, na łopatę - do rynsztoka. A moja łopata tak jakos wykręcała się przed rynsztokiem, że węgiel wypadał na ziemię. Byłam za to potwornie bita, bo: "prytwariajesz się! fitonisz!". A ja naprawdę nie miałam sił. Próbowałam robić to nawet na kolanach, opierając się łokciami o biodro, żeby tylko tę łopatę z węglem utrzymać. I tak szły dni za dniami. Pamiętam przeżycie z pierwszych dni na dole. Starzec, z braku sił siedzący przy rynsztoku i wybierający "porodę" - zasnął. Był niesamowicie wycieńczony, wyniszczony, kosteczki mu skrzypiały przy chodzeniu. Gdy tak spał oparty o śrup, podeszli do niego "brygadirka" z dziesiętnikiem, łajali go, bili po głowie lampami i kopali. Obie z Hanką rzuciliśmy się, żeby go bronić, przecież on ledwo żył. Wtedy zamachnęli się na nas, ale dziesiętnik powiedział, że nas nie zbije bo jesteśmy "nowienkije", tylko żebyśmy na drugi raz nie śmiały tego robić. "To jest nasza sprawa" i zaniesli tego biednego człowieka do "stacjonara", do szpitala. Zmarł po dwóch, czy trzech dniach. Jednym słowem, dobili go.

Niezmiennie ciężkim przeżyciem była dla nas stółówka. Ci z parającymi oczami, trzęsącymi się rękami, stojący nad nami ludzie i czekający na zostawioną na talerzu, czy wyrzuconą, ogryzioną rybą ość. Rzucali się na nią jak sępy, jeden przed drugim. W końcu przestaliśmy oddawać im, z łitości, swoje porcje, bo i nam były potrzebne do przeżycia.

Oprócz moralnego przygnębienia, ciężkiej pracy, wiecznego głodu i chłodu na wachtach, porajank, był jeszcze strach przed bandytami, którzy niby byli naczelnikami w kopalniach, ale tak naprawdę to czyhali na młode dziewczęta. To, że byliśmy Polkami, imponowało im i stanowiło dodatkową atrakcję. Kiedyś przytrzymał się do mnie dziesiętnik: "Bud mojej żenoi!". Odpowiedziałam, żeby się ode mnie odtrzymał, że ja pracuję, żeby dać mi święty spokój. W końcu zaczął mi grozić: "Uwidim, czy przez dwie niedzieli skazesz?" I posadził nas na "sztrafnaj kocior".

Najmniejsza norma chleba to było 40 deko. A "sztrafnaja" - to już tylko 20. Kilogram dostawali "nariadczycy" i "posadczycy", którzy sadzili "ławę" - najbardziej niebezpieczna praca. No i co? Rano talerz owsianki i kawałek chleba na cały dzień. Człowiek dzielił ten chleb i dzielił, a przecież zjadłby go naraz. Chowac gdzieś było trudno, bo albo zjadali go szczury, albo współtowarzyski. Na obiad "bałanda" z turnepsu zgnięgo, albo ryżka kaszy owsianej czy kukurydzianej. A właściwie to tylko opiłki, bo to w ogóle nie było omaszczone. Bywała też "zapiekanka" z jakiegokolwiek kaszy. Poza tym "farszmaczok" z ryby, zgnięj przeważnie, albo kawałek ryby. Mięso bywało tylko z okazji jakiejś komisji, a i to małe kawałeczki. Jak by nie było, racje były głodowe. Przyznam, że żadna kobieta z głodu nie umarła, nawet nie mając paczek. Mężczyźni natomiast marli jak muchy. Mężczyznom tego głodowego jedzenia nie starczało. Mimo tej samej pracy, tych samych warunków; widocznie organizm męski więcej potrzebował. Dotyczyło to szczególnie Estonczyków i Łotyszów. Byli przeważnie wysokiego wzrostu. Szukali wciąż tych białych kości, zupełnie gołych, rozbijali je na miazgę, zalewali wodą, z kuchni dostawali soli - jedynie soli można było w kuchni dostać - i wprost się tym zalewali, od tego puchli, robili się przezroczyści. I umierali. Ja sama byłam wciąż potwornie głodna. Wieczorem nie mogłam zasnąć z powodu jednej myśli: "Jutro dadzą chleb". No a potem patrzyło się, czy to "qarbuszka" i czy "prikojka" nie oderwana, czy ktoś mi jej nie ukradł. Tak, człowiek był nastawiony tylko na to jedno.

Nie zapomnę nigdy takiego obrazka. Na kopalni była stółówka dla wolnych i pracujące tam kobiety, bardzo często, nie chcąc wychodzić na mroz, otwierały drzwi i szuch! pomyje. Wylewały. I ta gorąca momentalnie zamarzają. Łotysze i Estonczycy czyhali na ten moment. I

pamiętam, jak jeden, zobaczywszy, że drzwi się otworzyły, ogromnymi susami dopadł do tej gorki, padł na kolana, z ust mu ciekła glina z niecierpliwości, i, drżącymi rękami wydziubował z trudem z tego lodu - jeden groch! Ja tego jednego gróchu i tego Estonczyka nie zapomnę do końca życia. Sama byłam głodna, ale płakałam wewnątrz siebie nad tym biedakiem.

Płynęły dni i miesiące, pracowaliśmy w kopalni, a siła było coraz mniej. Już nie miałyśmy siły wychodzić na górę, a czekało nas 500 metrów. Zauważyliśmy, że z miejsca, gdzie było światło elektryczne, szły do góry dwa tory, a po nich wagoniki. Jednym torem jechały z urobkiem pełne wagonetki, a drugim, z szalonym zgrzytem i trzaskiem spuszczały się puste. I zauważyliśmy, że tak samo ślabi jak my mężczyźni, siadali na bufor ostatniego wagonika i trzymając się go, w przysiadzie, wjeżdżali na górę. W połowie drogi było ogromne niebezpieczeństwo. Była tam tak zwana "wentylacyjna" i pułap opuszczał się prawie do poziomu wagoników. Bardzo często w tym miejscu znosiło głowę takiemu, który nie wiedział o tym. Ten opuszczony pułap zabijał ludzi. Ale my już wiedzieliśmy; i chociaż nie wolno było tego robić, z braku siły, spróbowałyśmy. Nie zauważone przez nikogo, hop! na ten ostatni wagonik. Jedziemy. Tylko ostrzegamy się: "Uważaj!, musimy przejechać ten!" Gdzieś błysnęło światło, w porę zauważyliśmy obniżony pułap i w porę opuściliśmy głowy. Jedziemy i jedziemy, wagonetki w dół lecą bardzo szybko, a nasz w górę powoli. I już zaczyna brakować siły, żeby się trzymać, ręce i nogi ślabbą. W pewnej chwili Hanka mówi: "Wanda, ja już nie wytrzymam, zaraz odpadnę". Modlę się, sama już nie mogę ale: "Haneczko, kochana, złota, trzymaj się, jeszcze trochę". I w pewnej chwili tak jęknęłam - a Hanka nie ma. A ona cichutko jak listek odpadła od wagonu. "Jezus Maria!" Ja też zeskoczyłam, głowa-nogi w dół! Stoję na nogach, a już słyszę z góry, już barabanią te puste wagonetki. A Hanka była od strony tych pustych torów. Myślę sobie: "Nie daj Boże, jeśli upadła na tory, czy zwichnęła nogę, to przecież ją zarżnie!" Wołam: "Hanka!" i słyszę gdzieś daleko w dole: "Ja tu". Więc ja biegnę na dół, a jest absolutnie ciemno. Biegnę potykając się i wpadam na nią. Ledwie zdążyłam ją chwycić i przytulić się do stempli, a wagonetki przeleciały obok jak "arioł". Bo tak się tu mówi na spadające wagony. Oderwane. Zdarza się, że odrywają się wagony pełne albo puste i lecą na zbity żeb, często zabijając znajdujących się przypadkowo na ich drodze ludzi. Nie wiem, jak długo staliśmy tam, tylko czuję nasze gorące łyżki pomieszane na scieniętych rękach. Na gorze czekają na nas wrzaski i porajanki, za to, że nas tak długo nie było. Zanim wyszliśmy z terenu kopalni, wszyscy musieli być policzeni, nie mogło brakować ani jednego człowieka. Zanim więc doszli zmęczeni i zanim znaleziono tych, którzy zasłabli, reszta musiała czekać; obolara, w przemoczonych buszłatach, w lodowej skorupie. Nawet nie było siły, żeby tupać. Pamiętam, raz przetrzymano nas na wachcie przez dwie zmiany. Ktoś zginął. Szukano go wszędzie, w kopalni, po terenie. Wreszcie domyślono się, że mógł się grzać na "trikoniku". To znaczy na hałdzie wyrzuconego kamienia. Są tam resztki węgla i ta hałda pod ciśnieniem pali się, więc jest ciepła. Brano stamtąd kamienie na usypywanie dróg, w hałdzie robi się wyłom, "dochodziaga" szedł, wtulał się w tę ścianę i grzał plecy. I taki jeden właśnie tam zasnął. W tym czasie nastąpił obsyp kamieni. Zaczęto grzebać i znaleziono go. Siedział jak zwęglona, czarna, spuchnięta kukła. Wrzucono go na ciężarówkę i powieziono do zony. Szliśmy za nim, a on, a raczej ta kukła, kiwała się jak Wancka-wstanka.

My z każdym dniem robiliśmy się mądrzejsze. Zaczęliśmy szukać możliwości ogrzania się podczas tego stania na wachcie, na mrozie. Zauważyliśmy, że obok, do kombinatu, wchodzi nie tylko

urzednicy, ale rowniez tacy jak my, gornicy. I raz odwazylismy sie wejsc po schodkach na gore. A tam hol, dookoła pełno drzwi, pełno tez roznych urzedujacych, starszych, "bratniaków" i żon naszych naczelników, które tam pracowaly jako urzedniczki. Ale ten hol jest pełen rowniez takich jak my i w tym holu jest ciepło; duszno, potworny smród, ale ciepło. Pod ścianami pełno siedzących; już nie stoją, a siedzą. My początkowo staliśmy, a potem pilnowaliśmy i jak tylko ktoś wstał i odszedł, to my siup! na jego miejsce. Przytulamy się do ściany, kolana pod brodę i staramy się cichutko siedzieć albo drzemać. Korzystaliśmy z każdej chwili, żeby się zdrzemnąć, bo to dodawało nam siły. Któregoś dnia rozmawialiśmy cichutko po polsku. Obok nas przechodził jakiś więzien, ale w kozuchu "na rozpaszku", w ładnych walonkach, pewnie jakiś naczelnik. Przeszedł i nagle wrócił. "Dziewuszki! Wy Polaczki? O Hospodi! A od kuda? kak? jakim cudem tutaj?" Mówimy co i jak. "O Boże!" - mówi - "Dziewczynki, wy w kopalni pracujecie?" Po rosyjsku, bo po polsku nie umiał. I tak codziennie przychodził porozmawiać z nami. Kiedyś mówi: "Boże! tak bym chciał wam pomóc. Ale jak? Może bym was wyprowadził z kopalni, ale muszę z nimi coś przepić. Może coś macie? Może wam jeszcze czegoś nie ukradli?" A ja miałam jeszcze swój długi, partyzancki kozuch, na którym Basia Dudyczowa w szpitalu leżała. Bo chorzy też na deskach leżeli, tylko brudnym kocem przykryci. Basia wprost z etapu poszła do szpitala, bo ona była zupełna "dochodziaga". Teraz miała z tego szpitala wyjść. Porozmawialiśmy z Hanką, że nam ten kozuch i tak ukradną, bo co ja z nim zrobię? Zostawię w baraku - ukradną tak, jak ukradli wszystko, co mieliśmy. Postanowiliśmy więc, że damy mu ten kozuch. Gra warta świeczki. Wyjść z kopalni to szczyt marzeń. Tam wciąż bawiliśmy się bandytów i wciąż musieliśmy przed nimi uciekać, rozbijając się po drodze. Ale Bóg dał nam szczęście i do tej pory udawało się zawsze uciec.

Daliśmy mu ten kozuch, udało się przemycić przez wachtę. Daliśmy, a on go rzeczywiście przepił z jakimś "nariadczykami". I któregoś dnia mówi nam: "Dziewuszki, pojdziecie pracować na powierzchnię. Dobrą pracę wam zaradziłem, bardzo się cieszę." Za kilka dni powiedziano nam, że my obie wychodzimy do "lampowej", tam, gdzie się czyści i na nowo ładuje lampki. Przyprawiono nas. Boże, każdy do nas "Wandeczka, Haneczka" - nikt nie krzyczy, nikt nas nie rąje, wszyscy są grzeczni. Pomyślałam sobie: "Takię szczęście długo trwać nie może." - Trzy dni trwało. I, jak się tam mówiło, "szurnęli" nas do "stroj-brygady". To już jednak niebo nad nami, nie ciemna kopalnia. Naczelnikiem był bardzo sympatyczny pan, który sam odsiedziało już 10 lat. Przystojny, wysoki, kulturalny, odzywał się do nas grzecznie: "Dziewuszki, mamy-papy niet, iditje pogret'sia". To była męska brygada, a nas na początku było tylko sześć. Praca była lekka, polegała na czyszczeniu bunkrów, które zawierały purga. No, ale i to szczęście nie trwało długo. Wkrótce dano nam jeszcze około 30 kobiet, skończyły się prace pomocnicze, a zaczęliśmy budować bunkry. Nosiliśmy duże kostki cementowe, takie duże cegły, cement, zaprawę murarską. Dużo nam nakładają, żeby wyrobić normę, trapy nam się chwieją pod nogami, ręce wyciągają do ziemi jak małpom. Było bardzo ciężko, ale na powierzchni.

Koszmar kopalni wciąż tkwi w pamięci. Kiedyś odpalano węgiel i "dawaj! dawaj!" - jeszcze gaz był - "dawaj! dawaj!!!" Hanka stała pierwsza, ja za nią, wąski korytarz (jeśli był szeroki, trzeba było węgiel narzucać na rynsztok z przerzutką), i nagle zobaczyła, jak potem opowiadała, że ściana się rusza i pada na nią. Wyprostowała się a węgiel zakrył ją jak koldrą, od nog aż po szyję. Góra węgla na Hance, ta leży cichutko, nawet nie miała czasu krzyknąć. Ja z kolei nie mogłam krzyczeć ze strachu. Zobaczyli to mężczyźni, przybiegli i zaczęliśmy odrzucać. Na szczęście, cała czarna jak węgiel, wyszła z tego cało, ale trzeba ją było wynieść z kopalni, biedną. Nie wiem, czy dostają wtedy trzy dni zwolnienia; miała tylko since.

Ja z kolei nie miałam już siły trzymać nawet łypaty. Opierałam ją o biodro, ale i tak mi się wywracała. "Brygadirka" rąbała mnie i biła, wreszcie zapewne zauważyła, że rzeczywiście nie mogę. Kopnęła mnie i mówi: "Idi - takuju twoju mat', pomagat' krepit' Wankie." "Krepit'" - to znaczy stawiać stemple. Wanka był to młody chłopak, "bratniak", ale sympatyczny i o mniej powierzchowności. Taki sobie śpiewający, jak to oni, Wanka. Przynajmniej zbytnio mnie nie rąbał. Piłowaliśmy sosniny, podkładałam mu klepki, on podstukiwał, a ja podtrzymywałam. "Wandeczka, idi przywiedź kozu." "Gdzie?" - pytam. "A wot w etom koridorie koza." - Ja szukam, jak koza? Myślę sobie: kpi ze mnie, czy co? Wracam i mówię, że ja tam żadnej kozy nie widzę. "Wandeczka, kakaja ty dura! Wot! stoit takoj wagonik bez bieriegow, tolko i tam leżat eti czurki." - Stemple. No, oczywiście, śmiech był na całym "uczastku", że Wanda chciała prawdziwą kozę przyprowadzić. Nie znam jej jeszcze wtedy rosyjskiego; po pracy padałam niezły na nary, niczego się nie chciało, jedynie między sobą porozmawialiśmy trochę po polsku. Piłujemy kiedyś z Wanką tę sosninę, i on uśmiechając się do mnie sympatycznie, mówi: "Wandoczka dawaj, pojebiomsia." Pytam: "Co takiego?" - A on powtarza: "Wandoczka, dawaj..." Ja stanęłam, przestałam piłować i mówię: "Wania, nie rozumie cię. Pokaż mi na migi, czego ty ode mnie chcesz." Ten podniósł brwi, potem je zmarszczył: "Wandoczka, znajesz czto? dawaj - rabotat'." Z politowaniem na mnie popatrzył, pokiwał głową i "Dawaj rabotat'". Długo myślałam, co ten Wanka ode mnie chciał? Co to znaczy po rusku? Ale nie spytałam nikogo. Zapomniałam o tym. Wanka nie raz widział, jak ja zbieram druciki i obwiązuję nimi "porcianki" i buty. Na drugi dzień przychodzi taki rozradowany i mówi: "Wandoczka, u mienia dla ciebia podaroczok." A ja już wiem, że nie wolno od nich nic brać, nie wolno się zobowiązywać. Nawet listów czytać nie wolno, bo to już zobowiązuje. A Wanka pokazuje mi czerwone, nowe sznurowadła. Ja mówię, "Wania, do takich butów, do takich "czuni" dobre są i druciki." A on wtedy spowaźniał, wyprostował się, złożył wskazujące palce na krzyż, pocałował i mówi: "Wandoczka! Wot klianus' na kriest, na Bozju Mat', na swoju mat', niczewo od ciebia nie chocz. Prisiagaju." Zrobiło mi się bardzo głupio. Nie mogłam nie wziąć. Nie chciałam popełnić afrontu, nie chciałam go obrazić. Ładnie mu podziękowałam, a on był taki szczęśliwy, że wzięłam. "Duroczka, ty duroczka" - myślałam sobie. Ale przecież było to spowodowane strachem, strachem przed innymi bandytami. Przecież niektóre dziewczyny wieszają się, nie wytrzymując tej ciągłej, z ich strony, presji, tej ciężkiej pracy i tego wszystkiego. Zdarzały się zresztą i takie, które poszły na lekki chleb, trzeba to przyznać ze smutkiem. Ale nie te z AK. W obozie było chyba dwadzieścia Polek, ale nie wszystkie siedziały za AK, niektóre nie wiadomo za co.

Wyszliśmy więc na powierzchnię dzięki tamtemu, przypadkowo spotkanemu Polakowi. Zresztą Polakiem to był jego dziad; on sam już nawet nie mówił po polsku. Na powierzchni też pracowaliśmy bardzo ciężko, ale na powierzchni. Zdarzało się, i to często, że po ciężkiej pracy wysyłano nas na "udarnik". Gdy węgiel szedł na "rodinu", a musiało iść, trzeba było czyścić zasypane przez purgę tory. Właściwie była to syzyfowa praca, bo my odrzucaliśmy ten śnieg, a purga kręciła i z powrotem go narzucała. Z odrzucanego śniegu powstawała lodowa ściana, bardzo wysoka. My znajdujemy się między tą ścianą a torem, widzimy tylko najbliższą, pół metra dalej stojącą koleżankę. I nagle ktoś z przodu krzyczy: "Dziewuszki! Pojezd! Udirajtie!!!". Ja już widzę tę ciemną masę nasuwającą się poprzez purgę i jeszcze zdążam przykleić się mocno plecami do ściany. Hanka stała za mną i widocznie nie zdążyła. I ją coś chwyciło. Coś chwyciło i przeciągnęło koło moich nog. Nawet nie krzyknęła. "Jezus Maria!", chciałam ją złapać, ale nogi się ślizgają. No, trafię nogami na szyny, a jej i tak już nie ma, już

nie zdaje. Nie do opisania jest ten strach, który przeżyłam i ja i ona. Jak potem opowiadała, to nic, tylko się modliła: "Jezus Maria, żeby tylko głowa, a nie nogi czy ręce.". Tak myślała. Jedyna modlitwa. Ciągnęło ją już dłuższy czas, aż wreszcie oderwała się i na szczęście nie trafiła pod koła. Starzała się, ostatnią siłą woli, odchylić w prawą stronę. Odpadła, widocznie nie wytrzymał buszlat, czy spodnie, coś, za co była ciągnięta. Całe ubranie z tej strony miała poszarpane. Gdy ją znaleźliśmy, była nieprzytomna. Twarz podrapana, cała czarna, straszna. Była tak obolała, że sama nie mogła iść. Na szczęście nie miała nic złamanego. Przeżyła. Ale dużo było takich wypadków, że zabijano w czasie purgi.

Na II-giej kopalni byłam do 50 roku. Z Hanką mijaliśmy się na wachcie. Wywiezli ją, potem przywiezli, a mnie wywiezli. Trafiam na Muldę, tak nazywano jeden z obozów. I z tejże Muldy była gremialna ucieczka. Opowiadali nam o tym strażnicy. Naczelnik obozu, też zresztą zesłaniec, miał frontowego kolegę katorżnika-więźnia. Umówili się obaj. Napadli na strażników, przebrali się w ich ubranie i resztę - jako etap - wywiezli. Dojechali podobno gdzieś do Białego Morza i po kontakcie radiowym zabrali ich szwedzki statek. Była też inna wersja tej ucieczki. Strażnicy przyprowadzili nas do zakrwawionych, zrujnowanych, bez światła i wody baraków, bez kuchni, bo wszystko było zdemolowane i powiedzieli, że wszystkich uciekających zabito, siedemset osób. Na tej zniszczonej Muldzie musieliśmy wszystko zrobić sami. Rąbało się śnieg, w którym często były kupy i to razem szło do kotła. Śnieg z zony, bo za zonę nie można było. W baraku stara beczka, też ze śniegiem, służył on do picia, do mycia, do wszystkiego. Same zrobiliśmy łaźnię. I stamtąd właśnie prowadzono nas do pracy do kamieniołomów; nazywano je karierami. Szliśmy dużo kilometrów. Mroz - nie mroz, zawieja - nie zawieja, musieliśmy iść. Wyprowadzano nas jeszcze przy -40 stopniach. Gdy przy takiej temperaturze był wiatr, nie wychodziłyśmy, bo była purga, a nie było lin. Przy mrozie nawet poniżej 40 stopni dawano nam setkę spirytusu. Większość wypijali sami, my dostawaliśmy tylko pro forma. Szliśmy może pięć kilometrów, może więcej, do tundry i tam budowaliśmy drogę. Staliśmy na wysokim wzgórzu, pod które podjeżdżały ciężarówki. Dziobaliśmy kilofami zmarzniętą glinę, drubaliśmy, a glina nawet na paznokcie nie chce odlecieć. Musieliśmy wydrubać dziurę, żeby zarzucić lont na odstrzał. Potem ładowanie na ciężarówki. 14 minimum a i 16 godzin na mrozie. Nie było z czego rozpalić ogniska, żeby się ogrzać. Rosły tam tylko karłowate brzożki, zasypane zresztą śniegiem. Jezus, Maria! Nie wiem, jak my to przeżyliśmy. Była tam taka szopa, a w niej mały piecyk, w którym paliła jakaś starsza babusia. Pozwalano czasem wejść na chwilę, z zegarkiem w rękę, no i "dawaj! dawaj!!!" bo już wchodzi druga grupa, bo wszyscy się przecież nie zmieszczą. Ale ten piecyk też nie zawsze się palił, bo nie było czym palić. Chłopcy przynosili kawałki drzew, albo cichaczem rozbierali "zapretnyje" pioty. Zdarzały się historie straszne, jak na przykład wtedy, gdy na naszych oczach zarżnęli się dwaj "biotniacy". Ale widzieliśmy też przepiękne obrazy. Kiedyś przez cały dzień, na naszych oczach, chodzili po zboczach i pasły się na polanach całe stada reniferów. Stare odgrzebywały coś w śniegu racicami i pyskami, a młode i łanie podchodziły i wyjadały. Majestat, spokój, zachodzące słońce, tego nie ~~można zapomnieć~~ byliśmy kilka miesięcy. Wiosną przyjechali do nas dziewczyny z II kopalni. Nie wszystkie kobiety, ale prawie wszystkie Polki. Radość nie z tej ziemi, jak to się mówi. No i nadal pracowaliśmy, jedne lżej, drugie ciężiej. Razu pewnego jedna z Rosjanek, która była "zaw-bani", poprosiła mnie, żebym przerobiła jej sukienkę. No i przerobiłam. Oczywiście w rękę, bo maszyny tam nie było. Zwolniła mnie wówczas z pracy, już nie szłam do "kariera" i byłam szczęśliwa. Pracowałam u niej przy krojeniu śniegu do kuchni i do łaźni, a od czasu do czasu szłam do niej, albo innym "zaw-

W karierach

można zapomnieć.

kuchni, magazynu, czy żonie naczelnika. Potem z Muldy wszystkie kobiety wywieziono.

Trafiam do 26 kopalni, gdzie nie było mężczyzn. Byliśmy z tego powodu naprawdę szczęśliwi. Pracowałam tam już tylko w pracowni krawieckiej. Moją podstawową pracą było ratanie ubrania. Poza tym, gdy trzeba było, szyłam naczelniczkom stroje. Na tę właśnie kopalnię przywieziono Cyganki. Pochodziły z Kaukazu, gdzieś z ciepłych krajów i zostały stamtąd wywiezione na Sybir, aż za Ural. Zbuntowały się i razem z mężami i braćmi wróciły nielegalnie do swojego kraju. No to za "pobieg" dano im 25 lat katorgi. U nas w obozie było bardzo ciasno, baraki były już pełne. Leżaliśmy na "spłoszonych narach" jak sardynki, na dole i na górze. Więc te Cyganki położono po prostu na środku baraku. Kładły się tak, że nie można było przejść. I one, być może uratowały nam życie. Wkrótce przywieziono jeszcze do obozu "bratniaczki". Tak zwyrodniałych, jak były one, nie widziałam przez te pięć czy sześć lat, jakie już spędziłam w obozie. Na początku przechodziły kwarantannę i nie wychodziły ze swego baraku. Zobaczyłam kiedyś przez kraty - drzwi były otwarte, bo było lato - jak jedna po drugiej padały na podłogę i dostawały drgawek; zbiorowa epilepsja, zbiorowa histeria. Rosjanki twierdziły, że to są normalne historie. I był tam taki grupni major, który, żeby zaskarbić sobie ich łaski, powiedział: "Z was iszczo budut ludzi, kogda wyjdietie na wolu. Nu, wot, eti swojoczy, faszysty..." i wskazał na nas. Gdy tylko skończyła się kwarantanna, one runęły na nasze baraki, żeby je obrabować. Na szczęście w naszym były Cyganki. Na płycie stały na ogół garnki z wodą, "kipiatok". Obok leżały, cegły, które, rozgrzane, były jedynym lekarstwem na bolące brzuchy. Cyganki chwyciły się natychmiast za "kipiatok" i cegły i wyrzuciły "bratniaczki" z baraku. Na tym jeszcze walka się nie zakończyła; tamte postanowiły nas nie tylko obrabować ale i wykończyć fizycznie. Ale my się już przygotowaliśmy. Przyszedł dyżurny, ten sam "striejok", który nas pilnował i mówi: "Dziewuszka, u tiebia jest czto-nibut'; jakis tomik, jakis noz?" Ponieważ nic nie miałam, przyniosłam mi kawałek romu - "wsadz pod materac". Każda z nas zaopatrzyła się w coś takiego. Cyganki naniósł wody, nagotowały "kipiatku", przygotowały cegły, kamienie. Okna zabiliśmy deskami. Po prostu wojna! Bunkier. "Bratniaczki" zrobiły szturm, ale nic z tego nie wyszło, zaraz poleciały cegły, kamienie. I druga próba była nieudana. W końcu je wywiezli. No, to było niemożliwe. Nie chodziliśmy do pracy, dzień i noc warczaliśmy w baraku, norma nie szła, więc wywiezli te bandytki.

Z 26 kopalni wywieziono nas w 50 roku do "reżimnego" obozu. I znowu numery. Był już cały alfabet - "A-1", "A-2" do tysiąca, był już podwójny alfabet katorżników. Dużo zmarło. Więc znowu nas przeliterowali. Ja dostaję już nie "Cz", a "N-20", czy "N-22", nie pamiętam dobrze. W "reżimnym" obozie barak naturalnie pod klucz, "reszotka" w oknie, "parasza" w kącie. Przychodzące paczki nie szły do adresata tylko do "prod-kaptiorki"; był tam taki, naturalnie zaufany człowiek, który dzielił się tymi paczkami. Zresztą można było wziąć tylko tyle, ile pozwolono. Gotować w baraku nie wolno było, więc jeśli dziewczyna dostaje kaszę, to co z taką paczką zrobić? Dostaliśmy kiedyś tak złośliwego dyżurnego, że robił nam "szmon" co dwa, trzy dni. Czego szukali? Pewnie kawałka tej blaszki, którą kroiliśmy chleb - 10 "sutok" karczeru, 5 "sutok" karczeru. Kompot stoi - wylał go nam na nary. Nazywaliśmy go od tego czasu "Kompotem". Ze złości wyrzucał nas na śnieg podczas srogiej zimy. Trzymał nas tam długo, chodził między szeregami i aż "sijał" od radości, że marzniemy. "Nu, cztoz? «Pani»?" - do mnie "pani". A w tym czasie w baraku robili szmon. No, ale potem posadzono jego brata, więc bardzo przycichł.

Dostaliśmy kiedyś bibliotekę, była to wspaniała radość.

Zmęczone byliśmy, ale zaczytywaliśmy się całą tą rosyjską literaturą piękną, kosztem snu. Mogliśmy też grać w siatkówkę, więc rżnęliśmy namiętnie, namiętnie. Kiedyś, właśnie była niedziela - pracowałam w nocy - gramy w siatkówkę. I nagle biegną dyżurni, jeden, drugi: "Dziewuszki! po barakam! po barakam!" Musiało to już być po śmierci Stalina, bo baraki były otwarte. Pozamykano nas. Przed dyżurnym biegnie jakaś dziewczyna, chyba Ukrainka, rwie sobie włosy na głowie i krzyczy: "Jezus Maria! Wszystkie dziewczyny z brygady pod pociąg trafiły! Masakra!" Wala, która grała z nami w siatkówkę, fajt! i zemdląca. Odcuciliśmy ją, pytamy co jej jest, a ona na to: "Pela? Co z Pela?" - "Peli głowę odcięto". Pela to była Ukrainka, która przyjaźniła się z moją Hanką, kiedy ta była sama. Broniła ją przed "białymi". Jeden z nich chciał żyć z Hanką i wciąż ją bił, Pela ją ostrzegara, więc i ją bił. Pochodziła zresztą z Polski, z polskiej części Ukrainy i bardzo pięknie mówiła po polsku. Taka Zosia z "Pana Tadeusza". Miła dziewczyna. Tego dnia powiedziała do Wali: "Wiesz, tak mi się dziś nie chce iść do pracy". A miała już w biurze pracować, ale brygadziстка przesunęła tę pracę na poniedziałek, bo brakowało jej tu jednego człowieka. I Pela opowiadała Wali, że właśnie widziała toczącą się swoją głowę. Dlatego Wala zemdląca, usłyszawszy o wypadku. I faktycznie Peli odcięto głowę, jakiejś dziewczynie ręce i nogi, innej - jedną nogę. To była masakra. Dziewięć dziewcząt. Było tak: nadjeżdżał pociąg, jedna ciężarówka przejechała przez tory kolejowe, drugi kierowca myślał, że też przeskoczy. Pociąg uderzył w róg burty i jak szuflą fiut! Zarzuciło i wszystkie się wysypały pod pociąg. Nasz naczelnik, "Czornyj Uzas", tak go nazywaliśmy, bo był wysoki, czarny i bardzo srogi, gdy się dowiedział, wziął się za głowę i mówi: "Moje biedne dzieci." Straszne to było przeżycie.

W obozie "reżimnym" podstawową pracą była praca w cegielni. Pod względem trudu można ją było porównać tylko z kopalnią. +80 stopni C i więcej - przy piecu. Dziewczyny mdlały, oblewano je wodą i znow musiały iść do pieca. Moja biedna Haneczka też tam pracowała. Nie wiem jednak, co było gorsze, czy ta praca przy piecu, czy w leju glinianym, tzw. "bisie" (od powtórzenia); cegielnia, to pierwszy, zasadniczy punkt pracy, a "bis" to tam, gdzie się wybiera glinę, drugi. Ogromny, przeogromny lej z przywającą na dnie szarą, rzadką gliną. Dziewczyny narzucały ją łopatami do wagonów. Przedtem same musiały ułożyć szyny i bele pod szyny, a wszystko to na tym "prawunie", na tej kołyszącej się glinie. Pracowały łopatami 8 - 10 godzin w dziurawych butach, bo nie było całych. Z góry często lał deszcz, albo sypał śnieg. Zima czy lato, upały - one grzęziły w tej glinie. Kilofy, łopaty, lejąca się glina. Bardzo często wagon się przechylał, przygniatał dziewczynę, topił w tym błocie. I te biedne, małe dziewczyny, żeby ją ratować, same podnosiły ten wagon. Mężczyzn nie było w ogóle, wszystko robiły dziewczyny i kobiety.

Posłano mnie kiedyś tam, na "udarnik". I właśnie stałam na gorze - a z góry dziewczyny takie malutkie - kiedy one się zbuntowały. Wiedziały, że muszą pracować, ale nie chciały dłużej w takich warunkach. Buty dziurawe, buszwały przemakające. Z góry deszcz leje, z dołu zimno. Grzęzną i topią się, gdy buty nabiorą perno wody. Zastrajkowały. Niektóre Ukrainki łopatami biły swoje koleżanki: "Pracujcie!" - bo one nie chcą iść do więzienia. A bite odpowiadały: "Nam już wszystko jedno". Zastrajkowały. Na drugi czy na trzeci dzień, a więc momentalnie, przyleciała komisja z Moskwy. Byłam właśnie na gorze i stałam obok nich, na brzegu leja, jakieś 30 metrów nad dziewczynami. Skorzane praszczki, bityszczące pagony - bonzowie. Patrzą w dół, już wiedzą o co chodzi. Słyszę, jak jeden z nich mówi: "Da, szuszajtie, wied' eto uzas.". I zamiast dziewczyny oberwać, oberwali naczelnicy. Natychmiast każda ma mieć nowe buty

- nowe, nie przeciekające - i "specowki" czyli nie przemakające kurtki itd. To już lepiej, jeśli nie marzniesz się w nogi, nie jest mokro. "Wied' eto uzas!" - taka to była praca podstawowa.

Ja pracowałam w "mastierskoj". Czasem chodziłam do cegielni, czasem do tej kopalni gliny, ale to były prace dorywcze. Czasem do "prod-kaptiorki", gdy zgnizły kartofle jedzone przez wołnych; my kartofli nie jedliśmy nigdy. To, że umiałam szyc, uratowało mi właściwie życie. Fizycznie byłam duża, ale bardzo słaba. W naszej pracowni krawieckiej urządzono filię pracowni miejskiej. Szyliśmy do sklepów różne rzeczy, rękawice, buszki, sukienki, koszule nocne, robocze ubrania. Kiedyś szyliśmy nawet spiwory dla geologów. Ciekawa praca, zawsze coś innego. Ale w tej pracowni dawano nam normę. Jeśli w jednym miesiącu wykonaliśmy tę normę, to w następnym nam dodawano. I tak z miesiąca na miesiąc norma rosła. Na tej "białtoj robotionce", bo tak ją nazywano, ja byłam "pridurkiem" i na tej "białtoj robotionce" ten "pridurok" spuchł. Nie miałam bowiem czasu, żeby pójść do "cichego kącika", nie mogłam odejść od maszyny, bo potem nie mogłam nadążyć; szło się "konweyrom". Bardzo też męczyły mnie nocne zmiany. No i na tej durnej, jak się mówiło, pracy wysiadło mi serce, spuchłam, byłam jak z waty. Gdy chciałam iść do San-Czasti, dziewczyny mówiły: "Niczego, Wandoczka, niczego". No to nie chodziłam, bo mi było wstyd. Byłam w zonie, ciepło mi było, nie marzłam, nie mdlałam w cegielni, po co miałam iść do San-Czasti? Kiedy wreszcie dostajam zawrótów głowy i sama nie mogłam chodzić, dziewczyny zaprowadziły mnie tam. Naczelniczka, wolna, mówi: "Wandoczka! poczemu tak późno?". Umiechnęłam się tylko. I ta sama współczująca naczelniczka San-Czasti już na drugi dzień nie dała mi się nawet wyspać. Dała mi w nocy pracę: "Rubaszkę" mężowi trzeba było uszyć, jej sukienkę. Czyli wszystkie prawie noce chodziłam do pracowni krawieckiej, żeby jej prywatnie szyc. Po miesiącu, gdy miałam jeszcze nogi jak kródy, wypisała mnie już z San-Czasti, bo już nic nie potrzebowała. "Wandoczka", użę wsio charaszo". No, "charaszo", to "charaszo", i poszłam znow te normy robić. Hankę raz mi się udało wziąć do pracowni krawieckiej, ale i stamtąd ją szurnęli na etap. Pracowała ciężko cały czas. Moje inne koleżanki pracowały różnie, ale przeważnie ciężko. Jedynie Basia Dudyczowa, która przyjechała już jako zuperna "dochodiaga", była cały czas w kartotece San-Czasti. Bródnią, też bardzo słaba po przyjeździe, jako siostra chirurgiczna, fachowy człowiek, też pracowała, ale też bardzo długo leżała w San-Czasti. Cesia ze Lwowa, którą poznałam w Moskwie na Butyrkach, była "chudoznikiem" w Ka-We-Cze. I ją posłało kiedyś na "udarnik", aże się zbuntowała, nie chciała pracować jak "białtojaczka". Zarzuciła buszki, usiadła na kępie i powiedziała że szkoda jej rąk, bo przecież musi malować. Wprost z pracy posadzono ją do karczeru. Ktoś przyniósł nam tę wieść. Ja wyskoczyłam z pracowni na ten straszny mroź tylko w sukience. Schwyciłam "pajkę" chleba i poleciałam do niej. No, to i mnie posadzili. Siedziałam do rana w niedpalonym karczerze. Potem mnie naczelnik "oswobodził". Byłam potrzebna do pracy.

Gdy chodziłam na nocną zmianę, ubierając się musiałam się rozglądać, czy gdzieś nie ma męskiego oka, bo chłopcy odwiedzali swoje "panie". Staraliśmy się spać szczelnie okryte, żeby się na nic nie narażać. I raz, gdy usiadłam na narach tak, jak spałam, w staniczku i w majteczkach, zjawił się przede mną potworny bandyta, żorka, który nigdzie nie pracował, był strasznie zdegenerowany; syfilityk i narkoman. Tylko dwie dziurki w nosie i potworna gęba. Objął moje kolana rękami i: "Zdrawstwuuj, Wandoczka!" i kładzie mi głowę na kolanach. Siedzę prawie naga, staram się jakos owinąć kocem, ale on ten koc trzyma i sama na nim siedzę. Mówię: "zora! ujditie!" A on: "A mnie tak przyatno" i jeszcze bardziej przybliży

tę swoją gębę. A ja "zora ujdite!" A on - nie. I jeszcze obejmuje mnie tymi rąpskami. Ja wtedy mówię: "Idiota." Boże! Momentalnie oczy mu nabiegły krwią, piana na ustach. "Ach, ty suczyszcze!" - powiedziała na mnie wszystko, co znał po rusku. - "Ubiju, suku!" - krzyczy. Chwyta za taboret. Ja zbladłam. Dziewczynę w strachu. A niedaleko spała pani Maria, Ukraino-Polka, za ukraińską sprawę siedziara. Dawają ona "białniakom" jakieś różne środki odurzające. Grozili jej nożem, więc musiała dawać, a oni odurzali się nawet luminalem. Myślała więc, że po przyjaźni go uspokoi: "zora! uspokoj'sia". Wzięła go za ramię, a on rąbnął taboretem panią Marię w ręb. Rozbił jej czołó. Pani Maria zalała się krwią, dziewczyny jak wroble pisnęły i rozsypały się na wszystkie strony. Panią Marię poprowadzono do szpitala. Tymczasem, kiedy on się szamotał z panią Marią, gospodyni baraku, "białniaczka", która jakos tak lubiła Polki, schwyciła mnie z tyłu za majtki, przeciągnęła na drugą stronę i mówi: "Wanda! kakaja ty dura. Idź na swoje nary, nakryj się tam kocem i cichutko leż, a ja postaram się go wyprowadzić. Kakaja ty dura" - jeszcze raz powtórzyła. No i ona, rając mnie z nim razem - "Ja jeju iszczo najdu. Pomogu tiebie, zora! Ja jeju najdu!" - wyprowadziła go. Pomagał wszystko się uspokoiło. Dziewczyny wróciły do baraku. Wróciła Tamara i mówi: "Wanda! kakaja ty dura! Ty by jemu skazara: takoj-siakoj, po matuszkie, ale ty-że widisz, cztó on idiot. Kakże można tak byto?" Skąd ja mogę wiedzieć, co tutaj można - a czego nie można. Lepiej na "ch", na "k" i tak dalej, byle nie "idiot". "Radzę ci jak siostrze, jak zobaczysz zorkę, to ty lepiej uciekaj. Powiedz wszystkim swoim koleżankom, niech cię strzegą, bo jemu to kiedyś przejdzie, ale kiedy, nie wiadomo". I rzeczywiście, że trzy miesiące od niego uciekałam. Kiedyś spotkał w męskiej zonie Cesię, ona tam pracowała jako plastyk, i mówi: "Zdrastwuj, Czesienka, cztó? sierdzisz'sia za Wandu?" Wyjął jej rękę z kieszeni, pomachał, wsadził z powrotem i pośzedł. Cesię przeraziła się, bała się, że ją zabije, ale nic się nie stało. I przeszło mu. Ja rzeczywiście uciekałam, dwa razy zmienialiśmy barak. Chyba po trzech miesiącach siedzę po nocnej zmianie na dolnych narach. W baraku jest absolutna cisza. Budzę się pod wrażeniem, że ktoś na mnie patrzy. Otwieram oczy, a przy stoliku, rozparty taki, z rękami na stole, z bazyliżkowym uśmiechem patrzy na mnie zorka. Ze mnie życie uciekło. Uprzytomniłam sobie, że oni nie zabijają epiących, tylko budzą i nożem albo "kirpiczóm". Słucham, w baraku nadal cisza. Ktoś spi, a reszta w pracy. I nie ma tym razem Tamary, mojej obrończyni. Staram się modlić, ale modlitwa mi nie wychodzi. Myślę sobie: "Boże! Taki szalony zał tak grupio zginac. Czemuż nie w partyzantce? Leżałabym honorowo z chłopcami gdzieś tam pod mchem. Ale tu? Z ręki takiego bandyty! Matko święta!" życie ze mnie uciekło i zimny pot mnie oblał. Patrzę, a ten zorka, z daleka jeszcze, mówi: "Zdrastwuj, Wandoczka!" A ja nie mogę głosu wydobyć. Wiem, że nie wolno nie odpowiedzieć, bo to znówu będzie obraża. Nie mam głosu. On wstaje. Wstrzymam oddech. Podchodzi, ręce w kieszeniach i mówi: "Zdrastwuj, Wandoczka!". Więc ja tak: "Zdrast... zora!", głosem drżącym i ochrypiłym. "Sierdzisz'sia iszczo na mienia?" Pokazałam tylko oczami, że nie. Widzę, tak kątem oka, że jego ręka wysuwa się z kieszeni. I im bardziej ręka się wysuwa, tym więcej nabieram powietrza: "Będźcie ten noż, czy nie będzie?" Nic. Wysuwa rękę w moją stronę i mówi: "Tak. Budiem druzjami." Ze mnie reszta się opadła. Wyciągnął mi z pod koca rękę, uściskał, wsadził z powrotem pod koc i mówi: "Nie biespakoj'sia, Wandoczka! Spi spokojno, bud' spokojna. Budiem druzjami."

Śmierć Stalina różnie różne kobiety przeżyły. Były takie, co płakały. Chwytały się za włosy, za głowy, wyły, płakały z żalu. Inne były obojętne, nie reagowały. My cieszyliśmy się ogromnie. Po jego śmierci, za Malenkowa, było najlepiej. Na stole położono nam chleb. A

gdy już chleb leżał na stole, to była wielka radość, to już nie było głodu. Każda jadra, ile chciała. Jadły nawet te, które bezpośrednio po zwolnieniu z obozu, przez pierwszy miesiąc, do zapałaty, nie miały szans przeżycia. Podchodziły pod druty i prosiły: "Dziewuszki, chlebca." I my wyносiliśmy chleb cichaczem. Dyscyplina już się rozluźniała, już nie było psów dookoła, nie było tylu strażników, pozostali tylko ci na czterech rogach. No i w ogóle do tych drutów można było podejść. Otwarto baraki. Latem, po śmierci Stalina, w piękny słoneczny dzień dyżurny woła: "Dziewuszki! wsie z baraków!" i "Stanowie w dwuszeregu." Stanęliśmy. Przyszedł "Czornyj Uzas", naczelnik, taki jakiś bardzo "torżestwiennyj", tak "sijał" i "Dziewuszki!" - bo wszystkie byłyśmy "dziewuszki" no i: "Dziewuszki! wot, prawitielstwo snimajet z was nomiera! Wy dowolny?" Naturalnie Rosjanki w ekstazie. A my popatrzyłyśmy tylko jedna na drugą i któraś głośno powiedziała: "Phi! a nam ten numerok - jak cwiatok u szlapy." Naczelnik zacisnął zęby i pięści, ale nic nie powiedział. Był wściekły. No, więc zdjęli z nas numery, raty. Poza tym otworzyli baraki, zdjęli te "reszotki", czyli kraty z okien. "Parasze" wyrzucili, bo już nie były potrzebne. No i był luz. A oprócz tego można było na własną prośbę, w czasie wolnego dnia od pracy, na kilka godzin otrzymać przepustkę do rejonu lub do miasta. Mam do dzisiaj, ukradzione u naczelnika, przepustki z pieczęcią obozową, in blanco. Mam też jedną na swoje nazwisko: "Wanda Cejko - rozreszajet'sia od 7 czasow utra do 19 wieczera." Miałam wtedy całą niedzielę do swojej dyspozycji. Kiedyś, między obozami krążyły listy pocztą pantoflową. Teraz mogliśmy się już spotykać. Oboz kobiecy był jeden, a męskich było bardzo dużo. Spotykaliśmy się z mężczyznami u jakiegoś wolnego Polaka w II rejonie, albo w mieście. Już wtedy, w 1955 roku byli wolni. Widziałam nawet zdjęcie Stacha na glizgawce. Nie rozumiałam - jak on tak...?

Workuta była tak daleko, że mogliśmy mieć trochę swobody. O ucieczce nie było mowy, zdarzały się jednak próby. Na 2 kopalni, pierwsze ofiary ucieczek - kilku Estonczyków, dwóch czy trzech - przez trzy dni i trzy noce leżeli na wachcie ku przestrodze: "nie uciekajcie, to was czeka". Zastrzeleni i rzućeni na wachtę, ot tak. A my koło nich musieliśmy przechodzić. Z 40-tej kopalni wymyślili sobie ucieczkę między chłopcy. Kolega mojego brata i kolega mojej koleżanki, młodzież wzięta z gimnazjum, z komórki jakiejś organizacji stworzonej już po... Uciekli. Najmłodszy 16 lat. Nie wiem, jak daleko doszli, ale cała tundra była podobno naszpikowana alarmującymi rakietami. Poza tym Komiak, tubylec, miał obiecaną nagrodę ileś tam rubli, więc nie było mowy o powodzeniu ucieczki. Chłopców ztapali żywych i na miejscu zabili. Nie był to strzał w plecy, tylko w piersi. Przywieźli ich i tak samo rzućili na wachtę. I też kilka dni pod rząd inni chłopcy przechodzili koło nich. Na tej kopalni było dużo Polaków. Potem, gdy mogliśmy już wychodzić na kilka godzin, chodźliśmy na cmentarz i robiliśmy wianki. Chłopcy zrobili krzyż i tabliczkę. O ucieczce i śmierci brata, moja koleżanka dowiedziała się od naczelniczki Ka-We-Cze. Nie wierzyła, ale to, niestety, okazało się prawdą.

Dla nas, dzięki przepustkom, zaczęło się inne życie. Zaczęły się spotkania z kolegami u wolnych. Wzruszali nas niejacy państwo Weberowie, ona chyba Litwinka, a on Polak. Byli na wolnym "posieleniu" i mieli już dwóch synków. Ich mieszkanie składało się z małego pokoiku i tamburka, czyli sionki. Abyśmy wszyscy mogli się pomieścić, wynosili na zewnątrz szafę, stół i łóżko, czyli wszystkie meble. Jeżeli mimo to, nawet stojąc, nie mieściliśmy się, zostawaliśmy na podwórku. Zresztą było lato. Były nas dziesiątki, dziesiątki. Robiliśmy zdjęcia. Wolni - mieli aparaty, ale pierwsze zdjęcia w obozie zrobił mój późniejszy mąż Stach i jego kolega, Heniek Jasinski. Aparat fotograficzny zrobili z okularów; poza

lampami, które mieli z zewnątrz, całą resztę wymyślili sami. Szukano tego aparatu uporczywie, bo naczelnicy wiedzieli, że Stach i Heniek go mają. A Stach, który miał pracownię plastyczną i robił różne popiersia pisarzy, rozety itd., schował aparat w przepoczwionym, wydrubanym i oblanym gipsem pniu. Pień stał na środku pracowni i wszyscy na nim siadali. Do dzisiaj mam wspaniałe zdjęcia, robione tym aparatem.

Te spotkania, to były cudowne czasy. Śpiewaliśmy, opowiadaliśmy sobie różne historyjki. Mogliśmy rozmawiać tylko po polsku i tylko z sobą. I wspomnienia. Na imieniny przychodzili wszyscy, kto żył. Jeśli ktoś nie dostał przepustki, przechodził pod drutami. Wtedy już nie było psów, można było i uciec, i wrócić.

Chodziliśmy na cmentarz, modliliśmy się za swoich zmarłych, ale jeszcze nie tak dawno, zgnębieni nieludzkimi warunkami obozowymi, inaczej przeżywalibyśmy śmierć. Byliśmy zubożnięci, śmierć wybawiała od strachu i uciekania, i bicia. Kiedyś w kopalni Hanka wypchnęła mnie za stęple w ostatniej chwili przed runięciem sufitu z kamienia. Znalazłam się tam zupełnie świadomie, to przecież byłby koniec całego zła. Codziennie wywożono na powierzchnię i przygniecionych, i samobójców. W jaki sposób chowano ludzi? Zupełni "dochodziadzy" trafiali do szpitala. Niektórych z nich podleczano szklanką mleka i kawałkiem białego chleba i ci musieli wrócić do pracy. Ale bardzo dużo umierało. Zmarłego, golasa, wyrzucano do skrzyni stojącej w sieni. Skrzynia - mniej więcej długości człowieka i wysokości na portora metra. Kiedy była już z górą pełna, przyjeżdżał wozak i ładował ją na sanie - "rozwalni". Każdy zmarły miał przyczepioną u wielkiego palca u nogi "birkę" - drewnienko z katorżniczym numerem. Znaczyło to, że taki numer "wybił". I "wsio"! Kiedyś staliśmy na wachcie, czekając aż nas wyprowadzą do pracy; taki tłum czarnych pingwinów, tupiący, kołyszący się cały czas. A obok stoi koń, przywiązany do słupka i sanie, pełne, jak drzazgi, gorących trupów. Wozak, zawsze pijany, wywoził te trupy na cmentarz. Jak można grob wykopać na Północy? On odgrzebywał śnieg i zakrębywał je. Dopiero wiosną, kiedy już ziemia dobrze odmarzła, jako-tako je chowano. I w pewnym momencie, gdy tak wszyscy stoimy wpatrzeni w ziemię, wtulając nosy w nędzne koinierze, przyprowadzają, żeby dodać otuchy do pracy tym kołyszącym się nędzarzom, akordeonistów z Ka-We-Cze. Akordeonista, dla żartu, pierwszy akord wziął bardzo silnie: raz! rozciągnął się akordeon. Koń się spłoszył, szarpnął, zerwał lejce z kółka, sanie szarpnęły w tył i w przód, my wszyscy na dźwięk akordeonu podnieśliśmy głowy i zobaczyliśmy taki obrazek: z tych sani, te trupy, na wszystkie strony trrrrach! jak drzazgi, jakby z jakiejś wyrzutni ktoś je rozsypał. A nasza reakcja? Ogromny, hućzny śmiech! Śmieliśmy się chyba z pół godziny. Historyczny śmiech, którego nie można powstrzymać. Dzisiaj oni tak się rozlecieli, jutro my.

Nadzieje na wyjście z obozu. Naturalnie, już te wyjęcia na wolność na kilka godzin sprawiały nam szaloną radość. Kontakt z rodakami, wolni dostają gazety z Polski, przez Wilno. Artykuł "My z AK". A nasz więzień, Jerzy Urbankiewicz napisał: "A my skąd?" Taka, bardzo ciekawa, korespondencja. Rok 55-ty. Dziewczyny budują nowe baraki na "wolnym posiołku", tuż przy cegielni. Pewnego dnia przychodzi "Czornyj Uzas", zbiera nas na placu na głównej ulicy obozu i mówi: "Dziewuszki! wychodźcie na wolnoje posielenie i żywicie gdzie choticie. Na robotu każda idiot tam, gdzie nada." Dostajemy już pieniądze za pracę. I od tej chwili, kiedy jesteśmy na wolności, sturujemy się gdzie chcemy, za te swoje pieniądze. Już stojówka obozowa nas nie karmi, bo do obozu przychodzi nowy etap. Już na bocznych torach czekają wagony pełne nieletnich bandytów, złodziejasków. Gdzie żyć? Kilka baraków dziewczęta zbudowały szykując się na wolność. Za dobrą pracę, na "wolne posielenie"

wyszło już kilkadziesiąt dziewcząt. Między innymi wyszła Cesia, nasza artystka-malarka. Ona, razem z Litwinkami budowała barak. Naczelnikiem "stroj-brygady" był Polak, Niemira i udało się im wyjść szybciej. Gdzie żyć? Gdzie się podziac? Przecież nikogo nie znamy. Zastanawiam się, idąc po tym "wolnym posiołku". Spotykam Tamarę, Ukrainkę ze Wschodniej Ukrainy, która już wcześniej wyszła na wolność. Mieszka niedaleko, między obozem a cegielnią, w małym domku. Ma dwa małe pokoiki i małą kuchenkę. Ale ja jeszcze nie wiem, jakie to mieszkanie. "Wandoczka! gdzie ty żywiesz?" - "Jeszcze nigdzie." - "Prichodi ka mnie." Ja mówię: "Tamaroczka! ja nie odna." Podumają i mówi: "Dawaj z podrugoj." Ja mówię: "Tamara! nas nie dwie..." - "No, da. Skolko was?" - "Cztery." - Ona: "O, Boże!" - chwyciła się za głowę. "I nie macie gdzie żyć?" "No, nie mamy. Nikogo znajomego nie mamy." "Ja ze swoim starym - mówi - porozmawiam." Porozmawiała ze starym. Gdy się dowiedziały, że Polki, powiedziały: "Polaczki? choroszyje dziewczki, dawaj!". A tenże stary, gospodarz domu, był autentycznym złodziejem. Mówił o sobie: "Ja czestnyj wor. Ja u czerowieka, ot, skolko za nogtiom nie wziął." - "A u kogo brał?" - pytamy. "A u gosudarstwa, konieczno." Gdy przychodziły wagony kolejowe, grupie, w której on był, dawano "cynk", że w tym i w tym wagonie jest to i to. Oni odpiłowywali jakieś deski, potem je zamaskowywali i "wsio!". I kolejarz miał, i oni mieli. Aż wreszcie wpadli i za to nasz gospodarz siedział. Bardzo sympatyczny i bardzo nas polubił. Było nam tam bardzo ciasno, ale i bardzo serdecznie. Podczas moich imienin, wynieśli się oboje z Tamarą i dali nam cały dom do dyspozycji. Często przychodził i mówił: "Dziewuszki! Spajom!", gdyż bardzo lubił śpiewać. Do dziś wspomnam go bardzo serdecznie.

Po wizycie Chruszczowa w Londynie pojawiły się transparenty "Oswobodzić więźniów politycznych!" i temu podobne. W świecie zresztą było głośno o tym. W 1953 roku, gdy oswobodzono wszystkich Niemców, wyjechały Niemki i z naszego obozu, a było ich dużo. Po miesiącu, przyszła do nas wólna z wiadomością, że jedna z Niemek opowiedziała po powrocie wszystko od A do Z o naszym obozie, o naszej cegielni, jak żyjemy, co jemy. Potem zaczęły wybuchać ogromne strajki i na Workucie, i w całej Rosji. W obozach strzelano. Było dużo ofiar. Na Workucie zginęło ponad 200 osób. Postanowiono zwolnić 80% więźniów politycznych. Wszystkie obozy podzielono na rejony i na punkty. Stworzono tam komórki sądowe. I pewnego dnia w naszym obozie wyczytano kobiety, które miały się zgłosić do takiego a takiego punktu na "wolne posiedzenie" w II-gim rejonie. Poszłyśmy, kolejno nas wzywają. Pokój, stół zagcielony czerwonym suknem, a za stołem prokurator w całej asyście. Prokurator bierze moją teczkę, odczytuje mi wyrok, jaki usłyszałam w Wilnie na Arsenalskiej, i powiada, że Rząd Radziecki biorąc pod uwagę moją dobrą i uczciwą pracę przez te wszystkie lata i moje dobre sprawowanie, łaskawie darowuje mi resztę winy. Pyta, czy jestem zadowolona. Powiedziałam "tak" - nic więcej, krótko. A nasza koleżanka Cesia patrzyła obojętnie w okno. Trzymała ręce w kieszeniach. Prokurator ją pyta: "Wy dowolny?" - Ona nic nie odpowiedziała. Stuknęła pięścią w stół i powiedziała: "Da. Ostawił 25 lat katongi." I ona jedyna spośród nas wszystkich Polek nie została zwolniona. Była to dla nas rozpacz. Nie mogliśmy się cieszyć swoją wolnością, Cesia zabiera całą naszą radość. Koleżki naradzili się i kazali jej napisać odwołanie. "Nie będę ich o nic prosić." - "Nie będziesz prosić, będziesz żądać!" - "Nie będę." No, to napisali sami i po prostu zmusili ją do podpisu. Po miesiącu przyszło: "Prawilno osużdzena." Ale po następnym - "Oswobodit, bez wyjazdu z Workuty." Tak więc, my wszyscy wyjechalismy, a Cesia została. Wyszła tam za mąż za Gienka Trzecika spod Grodna. Wkrótce po rozprawie sądowej dano nam paszporty sowieckie jako "grażdanom Sowieckiego Sojuza". Paliły nas te paszporty, więc zaraz zanieśliśmy je do

OWiR-u czyli do Biura Paszportów. W zamian dostawało się "sprawkę" z fotografią, stwierdzającą, że od tego i tego dnia, byłam tam i tam i że "po sniatiju sudimosti mnie oswabadzajut". Na podstawie tej "sprawki" wydawano karty repatriacyjne. Ale na repatriację czekać trzeba długo, a ja dostajam telegram, że moja mama jest śmiertelnie chora i jeśli chcę ją zobaczyć żywą, to... Zniosłam ten telegram do OWiR-u. Chyba za dwa dni dostajam kartę repatriacyjną. Wprost z wesela Cesi i Gienka, koledzy odprowadzali mnie do pociągu. Oni wszyscy wracali całą grupą. Każdy dostawał pieniądze na pociąg i jedzenie na jakiś czas. Ja jechałam tylko z jednym kolegą, który ofiarował się towarzyszyć mi w podróży. Granicę przekroczymy w końcu listopada 1956 roku. I zdążyłam. Mama żyła jeszcze miesiąc. To była radość. Smutna, ale radość, że jeszcze się mnie doczekają. I tak zakończyła się gehenna szczęśliwym powrotem.

Na "wolnym posiedzeniu" byliśmy najwyżej trzy miesiące. Stojowaliśmy się w "wolnej" stojowce. Nie zapomnę nigdy, jak jeden z naszych rodaków, wolny, powiedział oburzony do jakiegoś Rosjanina: "Nie mogę patrzeć, jak te moje rodaczki chciwie jedzą chleb z musztardą. Obrzydzenie mnie bierze." A człowiek tyle lat nie widział musztardy. Smarowaliśmy więc nią chleb i jadaliśmy z każdą zupą. "No, niebreżnyje, nie mogę patrzeć!" Taki był nasz rodak wrażliwy.

Uzupełnienia do opowiadania Wandy K.
spisane z drugiej relacji magnetofonowej.

Ranni z biakającego się oddziału zostali raz opatrzeni przez znajomego lekarza prawosławnego z Turgiel(?). Lekarz zostawił również lekarstwa i materiały opatrunkowe.

Sprawa "Hajduczka". Przy wywożeniu dziewcząt z Miednik do Kaługi, 10 odesłano do Wilna na Łukiszki; wśród nich była "Hajduczek". Sprzątały więzienie po Niemcach. Wypuszczono je wszystkie. "Hajduczka" wcześniej, gdyż rzekomo była w ciąży. Potem chodziła po terenie i rozpracowywała oddziały. Pogrzebała setki chłopców, w tym brata Wandy, Staszka, pseudonim "Kaktus". Ostatni raz widziały ją przy wjeździe do więzienia w Oszmianie, stojącą wolno z "bojcem". Nigdzie już nie siedziały. Sprawdzały to. Po wojnie była z dziećmi u przyjaciół Krysi, do której oddziału należała w czasie partyzantki. Podczas tego spotkania znajomy (Wandy) spytał ją, czy zna pseudonim "Hajduczek" i czy, już po akcji na Wilno, spotykała w terenie oddziały partyzanckie. Na oba pytania odpowiedziała - nie. Zaproszono ją na drugie spotkanie, na które miała przyjąć również Wanda - już nie przyszła. O "Hajduczku" powinien coś wiedzieć "Pająk".

Z więzienia na Łukiszkach. Stukaczki - konfidentki robiły to za jedzenie i obietnicę, nigdy zresztą nie dotrzymywaną, zwolnienia. Na 10 miesięcy więzienia Wanda miała 6 - 7 karcerów. Tam karcer, to najczęściej zamknięty drzwiami narożnik. W nim tylko zardzewiała blaszanka, na której również można było siedzieć. Miejsce tylko do stania. W tym więzieniu rozstrzeliwano, ale po osądzeniu. Akt oskarżenia dawano na trzy dni przed sądem. Całą grupę Wandy sądzono razem. Po sądzie trzeba było pisać "pomiłowanije" - prośbę o ułaskawienie. Oni nie pisali. Siabli w więzieniu załamywali się, tracili zmysły, wieszali się. Z nimi siedziały w celi nieletnie, 15 - 16 lat. Jedzenie dostawały w zardzewiałych blaszankach, a już po Moskwie, gdy zabrakło blaszanek po konserwach, dostawały w spluwaczkach.

Workuta. Miasto zbudowane przez zesłańców, wokół niego powstające coraz to nowe kopalnie. Gdy przyjechały było 40 kopalni. Oprócz kopalni cegielnie, wapno itd. Katorżniczek początkowo pracowały tylko w kopalniach i na kopalniach, (budowanie kopalni i obiektów towarzyszących). Mieszkały w ołpach, czyli zonach, czyli

obozach. To część z barakami mieszkalnymi. Ta zona była otoczona zapretną zoną: dwumetrowej szerokości, zagrabiany pas ziemi, otoczony dwoma szeregami drutów kolczastych. Nad bramą do obozu napis po rosyjsku "Rzetelna praca prowadzi do przedterminowego zwolnienia". Częste przesiedlania z baraku do baraku, rozłączanie przyjaciółek, krownych.

Pierwszy oboz Wandy to minimum 4 tysiące osób, 3 - 4 baraki żeńskie. Przy każdej konfrontacji z władzami obozowymi musiały się przedstawiać "Cze 148, Wanda Cejko, 1922 god, 58-1a-11, 20 let katorgi". Do 48 roku spary na gołych narach, od 1949 roku miały materace, czyli worki napychane wiorami, i koce.

Zakazana była korespondencja z domem. Napięły jeden list w 1947 roku i dostały odpowiedź. Od tej pory jej starszy brat, mieszkający z matką w Bydgoszczy, był wciąż nachodzony przez UB i indagowany na jej temat. Sądzi, że to umożliwienie wysłania listu z obozu było prowokacją. Łączy z tym zesłańca Mietka Zarugę, zaangażowanego prawdopodobnie do współpracy z "kumem" (naczelnikiem obozu od spraw politycznych). Raz dostała paczkę, bardzo skromną, za którą musiały zapłacić ponad 360 rubli. Nie wolno było mieć żadnych pieniędzy. Zapozyczyły się, a potem to odpracowywały. Chyba w 48 roku, za uszycie dwóch sukienek dla żony "kuma" dostała od niego w kopercie 300 rubli. W przesyłaniu, nielegalnym, listów, do rodzin pomagali wolni ryzykując za to 20 latami katorgi.

Nie miały żadnych świąt, zawsze pracowały. Święta kościelne starały się uczcić na własny sposób. Przed rosyjskimi świętami państwowymi, w które zresztą też pracowały, zwiększano dyscyplinę w obozach, zamykano bardziej niebezpiecznych więźniów. Niby miały dostawać wolne po 10 dniach pracy. Początkowo w ogóle nie dostawały. Potem, tak.

W 1950 roku zostały przeniesione do "reżimnego" obozu. Zamykane po pracy w barakach, kraty w oknach, parasze, tak jak w więzieniu. Gdy Niemcy zaczęli otrzymywać korespondencję i paczki, pozwolono i im na pisanie listów. Dano nawet do wysłania podwójne kartki; część na korespondencję, a druga, z adresem zwrotnym, dla rodziny. Szybko tego jednak zaniechano, stwierdzając, że tylko obcokrajowcom wolno korespondować, a one są przecież obywatelkami sowieckimi.

Wśród Rosjank i Ukrainek miały wiele serdecznych koleżanek, tylko nieliczne były bardzo nieżyczliwe. Rosjanki potrafiły być bardzo szczere, ale tylko w cztery oczy. Z Estonkami, Łotyszkami, Litwinkami - bariery językowe. Rosjanki najczęściej znajdowały sobie mężów. W obozach rodziły się dzieci. Zostawały przy matkach do dwóch lat, potem je wywożono do domów dziecka, nie mówiąc o tym matkom. Potem się okazało, że przy zwolnieniu dostawały adresy dzieci i mogły je odebrać. Polki były bardzo moralne, zjednywały sobie tym szacunek często nawet u "bratniaków". Niemki izolowały się; też bariery językowe. Polki szybko opanowały rosyjski. Pani Maria, która dawała "bratniakom" środki narkotyzujące, była lekarką, Ukrainką. Jej ojciec to generał Tarnawski sprzed I wojny. Siedziała za ukraińską sprawę. Adam Chadżyjew, Gruzin, miał matkę Polkę. "Bratniak", zwierzchnik Wandy, pomagał jej i jej koleżankom.

Kobiety w obozach łatwiej dostosowywały się do istniejących warunków i łatwiej znosiły głód niż mężczyźni. Nie miały żadnych sanitariów, żadnych szmat, nawet chustki do nosa. Od 49 roku zaczęły poprawiać się ogólne warunki bytowania, zmniejszyla się umieralność. Może zaczęto oszczędzać się roboczą. Wszystkie przeżyły. Po powrocie jedna z kobiet zachorowała psychicznie. Jeden z kolegów, któremu karę śmierci zamieniono na 20 lat katorgi, odsiedział 19 lat i wychodząc dostał zaświadczenie, że siedział niewinnie, ma teraz obsesję poobozową. Poza tymi przypadkami wszyscy w Polsce wrócili do się, kobiety rodziły zdrowe dzieci.